

2

1967

Taternik

<http://pza.org.pl>



SPIS TREŚCI

Wychowujmy prawdziwych taterników (Cz. Bajer)	49
Zima 1966/1967 w Tatrach (J. Kurczab)	52
Najpiękniejsze szczyty Tatr (R. W. Schramm)	53
Wyprawa „Burewiestnika” w Pamir (A. G. Owczinnikow)	55
Zima 1967 w Alpach (J. Nyka)	56
Na filarze Boccalattego (E. Chrobak) .	57
IV Polska Wyprawa w Hindukusz (R. Śledziwski)	59
Sad Isztrag (M. Kozłowski)	65
Ściana Białej Kopuły (L. Saauß) . . .	67
Mój Hindukusz (D. Topczewska-Bara- nowska)	69
Akcja „Noszak” (A. Mróz)	71
Francuzka na Noszaku (I. Agresti) . . .	75
Warunki pogodowe (J. Wala)	76
Wypadek na trawersie Noszaka (A. Heinrich)	77
Jutro obóz trzeci... (J. Bourgeois) . .	80
Działalność naukowa podczas IV PWH (J. Wojtusiak)	82
Problem własnego samochodu (R. Śle- dziewski)	83
Zaopatrzenie żywnościowe (M. Kozłow- ski)	84
Hindukusz z perspektywy — refleksje (R. W. Schramm)	85
Z życia Klubu Wysokogórskiego	87
Karta żałobna	89
Wypadki, ratownictwo	90
Notatki, ciekawostki	91

Przednia okładka: Lodowe mniszki w Hindukuszu
Fot. Jerzy Wala

Zdjęcie obok: Zabia Lalka i Zabi Mnich, w głębi
Mnich i Szpiglasowy Wierch ze Szpiglasową Prze-
lęczą
Fot. Janusz Vogel

Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

ROCZNIK 43

WARSZAWA, 1967

NR 2 (195)

Czesław Bajer

Wychowujemy prawdziwych taterników

Wiele prawd starych i w naszym gronie zdaje się powszechnie znanych, dzięki odpowiedniemu ich pogrupowaniu, wiedzie do nowych poglądów i stawia przed nami nowe problemy. Do takich należą warunki uprawiania taternictwa w Polsce i bolączki organizacyjne Klubu Wysokogórskiego.

Wiemy wszyscy, że Klub się rozrósł niepomiernie, a góry jak gdyby skurczyły się pod falą turystów. Większość członków KW, zwłaszcza „sympatyków”, po prostu ani nie potrafi, ani nie wie jak uprawiać taternictwo. Nie brak i zaawansowanych na błędnych drogach: fizycznych i duchowych. Ciąsnota we współżyciu wywołuje zatargi, wykoślawia charaktery. Błędy techniczne i etyczne prowadzą do groźnych wypadków. Niedośzlifowanej przenoszą słabostki w szeroki świat, gdzie w perspektywie olbrzymów lodowych urastają one do wymiarów karygodnych wypadzeń.

Kto temu winien? Wszyscy my, doświadczeni taternicy. Bo inni nie wiedzą co czynią. I tylko my możemy i musimy uzdrowić taternictwo.

W odróżnieniu od większości innych dyscyplin sportowych, najwyższe wartości alpinizmu jako sportu, jako rekreacji, jako rozrywki i jako szkoły charakterów polegają na konieczności **bytowania sportowego**. Można na stadion sportowy przychodzić wprost z pracy, czy domu, przebierać się w kostium, a po zakończeniu ćwiczeń lub zawodów powracać w ubraniu wyjściowym do normalnego codziennego środowiska i zajęć. Alpinizmem trzeba żyć.

Nauczyć się uprawiania alpinizmu — to przystosować się do szczególnych warunków i

form bytowania oraz działania w tym sporcie, na jego terenie i w jego społeczności. Od przyswojenia sobie praw rządzących daną społecznością i od podporządkowania się im przez wszystkich członków tego środowiska zależy pomyślnie osiągnięcie zamierzonych celów — przez wszystkich. W alpinizmie zależy od tego i wielkość osiągnięć, i rozwój fizyczny, i wartość przeżyć duchowych dla największej liczby jego miłośników, ale co najważniejsze — również bezpieczeństwo zdrowia i życia całych zespołów i każdej jednostki. Bo alpinizm jest najniebezpieczniejszy ze wszystkich sportów. Każdego sympatyka wstępującego w szranki alpinizmu należy uprzedzać, że to sport tylko dla odważnych, ale rozważnych.

Toteż można kogoś „szkolić” na wspinaczka, ale ucznia taternickiego trzeba wychowywać i kształcić. Wychowywać od pierwszego kroku w górach, aż się wykształci prawdziwy taternik.

Kształcenie taternika tym powinno się różnić od prostego szkolenia, że stawia rozum na pierwszym miejscu. Nie zadowala się odpowiedziami na pytania „jak”, lecz wymaga wyjaśnień „dlaczego?”. Żąda celowego, logicznego wiązania w całość działalności sportowej z bytowaniem taternika, przestrzegania zasad higieny życia i zdobywania wysokiej ogólnej sprawności fizycznej, zmierza do rozszerzenia horyzontów intelektualnych na dziedzinę alpinizmu i jego historii, każe wyciągać z historii aktualne wnioski, uczy obserwacji przyrody oraz przewidywania zdarzeń w przyrodzie i działaniu górskim, orientowania się w terenie w każdym układzie warunków, alternatywnego programo-

wania i przystosowania działań. Łączy to wszystko z zaprawą sportową, z nabywaniem umiejętności różnokierunkowego pionowego i poziomego poruszania się w terenie górskim, z opanowaniem sztuki swobodnego pokonywania trudności rozmaitych formacji skalnych i lodowych, sprawnego posługiwania się wielorakim sprzętem i stosowania asekuracji.

Największą rolę należy jednak przypisywać zadaniom wychowawczym, gdyż wychowanie — to kształcenie c h a r a k t e r u taternika, to wdrażanie go w reguły życia w społeczności alpinistycznej, od których opanowania zależą w ogóle rezultaty jego kształcenia. Dlatego nie można oddzielać kształcenia od wychowania. Powinny one stanowić jedność w każdym miejscu i czasie. Wtedy tylko wyniki będą zadowalające.

Ukształtować charakter taternika — to zadanie niełatwe i z reguły wymagające długiego czasu. Niekiedy idzie tylko o wzmoczenie cech wrodzonych, innym razem — o przyswojenie mu cech nowych, nie znanych. Taternik musi kochać przyrodę, a góry winien ochraniać nade wszystko. Winien być koleżeński, hamować swoje indywidualne zapędy w interesie zespołu, w którym działa. Musi być zdecydowany w działaniu, ale samokrytyczny i rozważny, prawdomówny i niezawodny. Wszak lina wiąże taterników dosłownie na śmierć i życie, więc jeśli zawodzi ktoś w życiu, to jak mu zawierzać w górach? Taternik musi dotrzymywać obietnic, mieć wysokie poczucie obowiązku i dyscypliny organizacyjnej, zawsze pomóc słabszemu, a w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa — być zdolny do ofiarności aż do stopnia bohaterstwa. O takim mówiło się zawsze, że to prawdziwy taternik.

To bardzo wysokie wymagania, a jednak to jeszcze nie wszystko. Taternik musi całą, rozumem zdobytą, wiedzę alpinistyczną i zasady postępowania zamienić na nawyki, mówiąc naukowo — na odruchy warunkowe.

Oczywista, że wychowawcą i nauczycielem aspiranta taternickiego może być tylko ktoś będący dlań autorytetem. A więc taternik nie tylko wykształcony i doświadczony, obdarzony talentem pedagogicznym, ale przede wszystkim — zawsze świecący dobrym przykładem.

Nie zapominajmy o tym wszyscy, którzy mamy uzdrawiać taternictwo.

Aby zakończyć z założeniami celu wychowawczego pragnę przypomnieć o konieczności prowadzenia walki z alkoholizmem (nieestety, obserwujemy jego objawy wśród taterników) oraz nałożenia hamulców na nadmierną rywalizację i porywanie się na przejścia dróg trudniejszych od osiągniętego poziomu sprawności. Trzeba też wdrożyć przekonanie, zwłaszcza mniej doświadczonym, że

wezwanie pomocy im wcześniejsze, tym jest lepsze, i nie przynosi wstydu nikomu.

Porównanie nakreślonych celów wychowania i kształcenia taterników ze stanem istniejącym i środkami stojącymi do dyspozycji Klubu stawia przed nami zadanie niebagatelne. Niejeden z czytelników uzna je prawie za niewykonalne. Autor bynajmniej nie zalicza siebie do fantastów, lecz zdaje sobie sprawę, że jest to zadanie na długie lata i jak każde zadanie wychowawcze — tylko częściowo osiągnące zamierzone cele. Bardzo dużo zależy jednak będzie od dobrej propagandy i od dobrego organizacyjnego zaprogramowania oraz przeprowadzenia pracy.

Mówię dlatego o propagandzie, gdyż przyjdzie nam zmobilizować wszystkich członków KW zdolnych do działania.

Jak mamy do działania przystąpić?

Po pierwsze — podjąć uchwałę na wysokim szczeblu organizacyjnym Klubu, ustalającą na kilka lat priorytet spraw wychowawczo-kształceniowych wśród innych jego zadań.

Po drugie — kierownictwo ogólne powierzyć komisjom wychowawczo-kształceniowym, powołanym na wszystkich szczeblach organizacyjnych i we wszystkich ośrodkach, a poddanym bieżącemu nadzorowi odpowiednich zarządów i komisji wyższego szczebla. Wszystkie komisje winny działać według jednolitego programu, opracowanego dla całości i dla każdego ośrodka, odpowiednio do miejscowych warunków.

Po trzecie — dokonać podsumowania i zbilansowania potrzeb oraz wszystkich możliwych do wykorzystania środków w zakresie ludzkim, lokalowym, sprzętowym, materiałowym i pieniężnym. Należy ustalić generalny przegląd liczby i poziomu sportowego członków KW w przekroju środowiskowym i w podziale na 3 podstawowe grupy: wymagających kształcenia, zakwalifikowanych na przyszłych wychowawców (w tym — instruktorów) oraz pozostających poza działalnością wychowawczą. Oczywiście ankieta spisowa zawierałaby i podgrupy, zależne od dokładniej określonych poziomów sportowych osób spisywanych. Stosunek liczby wychowawców do liczby wychowanków w każdym ośrodku pozwoli ustalić terytorialne nadwyżki i niedobory osobowe. Będzie to podstawą do prawidłowego rozdziału sił i zaplanowania pomocy sąsiedzkiej. Potem trzeba obliczyć niezbędne środki materialne dla pełnego wykształcenia danej liczby taterników (w przekroju rocznym i wieloletnim) oraz ustalić jakimi środkami materialnymi Klub dysponuje, wreszcie — porównać uzyskane w ten sposób liczby potrzeb i zasobów. Ujęcie całości bilansu w aspekcie prognozy czasowej pozwoli na ustalenie zakresu postulatów, od spełnienia których zależy będzie wyrównanie środków z potrzebami.

Po czwarte — opracować szczegółowy program tematyczny działalności wychowawczo-kształceniowej, mający być podstawą do tych obliczeń szacunku potrzeb, o których była poprzednio mowa.

Wymagają tu dodatkowego omówienia przynajmniej najważniejsze zagadnienia programu tematycznego. Jako wstępne, samo narzuca się zagadnienie przygotowania kadry wychowawców.

Nasi instruktorzy kształceni byli dotąd przeważnie w kierunku podwyższania ich wiedzy alpinistycznej, natomiast metody dydaktyczne, którymi mieli się posługiwać przy kształceniu swoich wychowanków, pozostawiane były raczej ich własnej intuicji. Obecna kadra czynnych instruktorów jest liczebnie za mała dla wykonania zadań o charakterze masowym, trzeba więc będzie przyciągnąć do pracy taternicko-wychowawczej członków zwyczajnych a również przygotowywać do tych zadań zdolniejszych członków-uczestników. Wymaga to przeprowadzenia wielu kursów wychowawczo-unifikacyjnych dla instruktorów i wychowawców.

Tak obszernie i na wiele lat zaprogramowana praca wychowawcza jest nie do przeprowadzenia bez nowoczesnego kompleksowego podręcznika alpinizmu, w którym zasady wychowawcze stałyby się motywem przewodnim wszystkich jego części i rozdziałów. Wyobrażam sobie podręcznik złożony z 3 części, w kieszonkowej formie, którym mogliby się posługiwać dosłownie wszyscy taternicy, w domu i w górach, niezależnie od stopnia osiągniętego poziomu sportowego. Podział na części mógłby obejmować: 1) zasady ogólne i taternictwo letnie, 2) taternictwo zimowe i alpinizm, 3) technikę wyczynową powierzchniową i jaskiniową. Nie wolno zapominać o technice wyciągania się z trudnego terenu (we wszystkich częściach) oraz o ratownictwie górskim. Wzorcowe zestawy wyposażenia w sprzęt i żywność należy oprzeć na środkach dostępnych dla członków KW.

Opracowanie podręcznika trzeba uruchomić niezwłocznie, aby przygotowane rozdziały mogły służyć jeszcze przed ich wydrukowaniem instruktorom i wychowawcom, choćby w postaci odręcznych odpisów. Finansowanie takiego podręcznika na pewno nie napotka na większe trudności, bojąć czy nie będzie łatwiejsze od finansowania innych działów programu. Przy tym podręcznik sam przez się będzie dużym dorobkiem Klubu, kształcenie zaś taterników bez podręcznika stanie się trudnym i niezwykle skomplikowanym.

Opierając całokształt działania na kadrach nam dostępnych, czyli na pracy społecznej członków KW, nie możemy jednak zrezygnować zupełnie z pracy zawodowej. Mam tu na

myśli powołanie trenerów, którzy jako wykonawcy wielu zadań na szczeblu centralnym pełniłyby również funkcje inspektorów kształcenia taterników w ośrodkach. Łącząc nasze wysiłki z programami i środkami instytucji i organizacji pokrewnych bądź zainteresowanych w krzewieniu alpinizmu, można by się pokusić o utworzenie stałej szkoły alpinizmu i narciarstwa, która by kształciła instruktorów i wychowawców, a także zawodowych przewodników górskich.

Za podstawowe formy przeprowadzania programu trzeba przyjąć pogadanki, wykłady i ćwiczenia praktyczne, również w terenach skałkowych, oraz wycieczki i obozy zespołowe letnie i zimowe w Tatrach. Dla pamięci: pogadanki od samego wstępu winny obejmować zagadnienia zachowania bezpieczeństwa w górach i uczyć ratownictwa, a także zajmować się analizą aktualnych typowych wypadków górskich. Zajęcia należy organizować programowo na wszystkich szczeblach opanowywanej techniki, a więc poczynając od dłuższych wycieczek ścieżkami i zupełnie łatwych wspinaczek, aż do trudnych wypraw zimowych i techniki wyczynowej. Do tej ostatniej należy zaliczać pokonywanie dróg jaskiniowych. Zawsze jak największą wagę przywiązywać do współzycia zespołowego w czasie omawianych zajęć. Należy przewidywać funkcje ogólnych kierowników większych grup oraz ich pomocników, ale jednocześnie dążyć do tworzenia w ramach grup kształceniowych małych dwu- i trójosobowych zespołów, prowadzonych stale przez tego samego wychowawcę na wszystkich szczeblach techniki. Taka metoda pozwala nie tylko umiejscowić odpowiedzialność, ale również wytwarza silne więzy przyjaźni pomiędzy pokoleniami taterników i powinna stać się ostoją siły całej organizacji klubowej. Niektóre mniej liczne Koła KW służą doskonałym przykładem w tym względzie. W każdym razie urządzanie obozów-gigantów należy wykluczyć.

Trzeba przewidzieć niezbędność prowadzenia indywidualnej ewidencji kształconych, opartej na sprawozdaniach kierowników z zajęć i ich opiniach, wystawianych wychowankom po każdej poważniejszej imprezie oraz okresowo. Będą i na to potrzebne pewne środki materialne.

Ten wielki program wychowywania i kształcenia aspirantów taternictwa należałoby uzupełnić środkami organizacyjnymi Klubu, które by zachęcały członków do podnoszenia swoich kwalifikacji sportowych przez uczestnictwo w kształceniu klubowym. Mam na myśli obie strony: wychowawców i wychowanków. Komisje sportowe mogłyby uzależniać udział w interesujących imprezach sportowych od wkładu pracy wychowawcy bądź też od uzyskanej opinii o postępkach wychowanka. Naturalnie, że muszą się zna-

leżąc również środki na finansowanie poświęconego czasu i wydatków instruktorów oraz wychowawców. Nie można także zapominać o środkach dyscyplinarnych, a więc o zastosowaniu sankcji za lekkomyślność lub niestosowanie się do zasad zachowania bezpieczeństwa w górach, zwłaszcza do zasad prawidłowej asekuracji.

Oto kompleksowy zarys ogromnej i długofalowej operacji, jaką powinniśmy podjąć dla uzdrowienia taternictwa polskiego. Jej szczegóły staną się częścią wstępnych opracowań, które będą musiały przeprowadzić organy wykonawcze. Nie leży w założeniach tej operacji charakter akcji zrywowej, wręcz przeciwnie — znamionować ją winna planowość i systematyczność działania. Zapewne same przygotowania i opracowanie planów potrwać wiele miesięcy.

Na koniec musimy sobie wreszcie wyraźnie powiedzieć, że powodzenie całej zamierzonej operacji zależy przede wszystkim od dobrych chęci, woli działania, no i... poczucia obowiązku społecznego ze strony wielu doświadczonych taterników. Czyż jednak doprawdy

dla zmobilizowania taterników w tej dobrej sprawie trzeba aż tak ważkich argumentów, jak odwoływanie się do poczucia obowiązku? Wcale tak nie sędzę. Wiem z doświadczenia własnego i odwołuję się do doświadczenia kolegów, że nie ma dla taternika większej przyjemności, niż wprowadzanie nowych miłośników gór w świat własnych doznań, niż przeżywanie z nimi ponownie tych zachwyłów, które jego samego ogarniały, gdy zaczynał poznawać urzekające tajemnice tego rzeczywiście najwspanialszego ze sportów. Łączy więc najprzyjemniejsze z najpożyteczniejszym.

Proponuję przystąpienie do zdecydowanego działania dla przekształcenia członków Klubu Wysokogórskiego w prawdziwych taterników, a jestem przeświadczony, że zarówno w naszej społeczności jak i w społeczności tych, którzy życzliwym okiem nas obserwują, tę najchlubniejszą ocenę, jako prawdziwych taterników, uzyskają w pierwszym rzędzie ci, którzy wychowują i kształcą w taternictwie innych.

Czesław Bajera

Zima 1966/1967 w Tatrach

Tatrzańska zima, której końca w tym roku należy oczekiwać chyba dopiero... w czerwcu, spłatała taternikom kolejnego figla. Pogoda była zła, czego efekt jest łatwy do przewidzenia: od szeregu lat nie notowaliśmy sezonu wspinaczkowego tak słabego! Wielu taterników, i to ze ścisłej czołówki krajowej, nie będzie się mogło w tym sezonie wykazać ani jednym przejściem!

Szczególnie ubogo przedstawia się podsumowanie zimy kalendarzowej. W tym okresie, poza dość licznymi imprezami kół, Zarząd Główny KW zorganizował przy Morskim Oku dwa obozy: unifikacyjny dla młodych taterników oraz wyczynowy dla alpinistów z Krajów Demokracji Ludowej. Tylko w ramach tych obozów osiągnięto bardziej interesujące wyniki. Podczas pierwszego — przejście nowej drogi na północnej ścianie Koprowego Wierchu (zob. s. 86), podczas drugiego — przejścia zachodniej grzędy Niżnich Rysów (Cz. Momatiuk i A. Mróz z dwójkami radziecką i czechosłowacką) oraz środka Kazalnicy drogą Łapińskiego (dwójka czechosłowacka w półtora dnia).

Ogólny bilans poprawiły dopiero wyniki kwietniowe, przy czym trzeba dodać, że w kwietniu 1967 r. przez cały czas panowały warunki w pełni zimowe, z wyjątkiem temperatury, która w dzień nie spadała poniżej 0°. W Tatrach Polskich wyróżnia się

przejście drogi Łapińskiego i Paszuchy na Kazalnicy (J. Kurczab i R. Niklas w czasie 11½ godz. — 11 IV), nie powtarzanej do tej zimy od 6 lat. W ostatnim dniu sezonu, 30 IV, zespół M. Kozłowski, T. Piotrowski, A. Skłodowski i A. Szymanowski przypomniał ogółowi taterników o innej pięknej i trudnej drodze zimowej — wschodniej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu drogą Świerza (czas — 13 godzin).

Taternicy zakopiańscy wspinali się tej zimy przede wszystkim na Giewoncie. Wyróżniają się tu zwłaszcza dwa przejścia dróg na północnej ścianie tzw. Długiego Giewontu, oba z udziałem J. Hajdukiewicza, M. Jagielly i J. Olszewskiego. W Tatrach Słowackich najlepsze wyniki osiągnął obóz słaski, o którym piszemy w dziale „Z życia Klubu Wysokogórskiego”. Na uwagę zasługuje przede wszystkim przejście drogi Komarnickich na północnej ścianie Małego Jaworowego Szczytu, a także trawersowanie grani Snieżnych Turni.

Można by jeszcze odnotować kilka trudnych ale niezbyt długich dróg skalnych w otoczeniu Hali Gasienicowej oraz kilka dłuższych, za to niezbyt trudnych w Tatrach Słowackich. I na tym koniec. Cóż, z optymizmem trzeba będzie poczekać jeszcze rok, a może — kilka lat?

Janusz Kurczab



„Zaden widok bardziej straszny a zarazem majestatycznym nie jest, nad południową pochyłość Krywania. Dzika a martwa przyroda rozwinęła się tam we wszystkich ostatecznościach...” (L. Zeisner, 1845). Na zdjęciu Krywań (2486 m) widziany od północy, z Kondrackiej Przełęczy (odległość 10,5 km).

Fot. Janusz Vogel

Najpiękniejsze szczyty Tatr

„Miłość do gór jest krainą doznań,
odczuć i przeżyć subiektywnych”

Piero Rossi

Ostatni numer „Taternika” z ubiegłego roku (3—4/1966) przyniósł notatkę o wynikach ankiety miesięcznika „Alpinismus” na temat najpiękniejszego szczytu świata — i równocześnie wezwanie redakcji do próby przeprowadzenia takiej klasyfikacji wśród szczytów tatrzańskich.

Korzystając z Walnego Zjazdu Delegatów Klubu Wysokogórskiego w dniach 4 i 5 marca 1967, pozwoliłem sobie zaimprowizować wśród zebranych ankietę, która mogłaby dać pierwsza, spontaniczną odpowiedź na to pytanie. Wyszedłem z założenia, że zebranie około 90 osób, reprezentujących wszystkie środowiska Klubu Wysokogórskiego, wszystkie jego pokolenia — od taterników czynnych jeszcze przed pierwszą wojną światową do najmłodszych, nie tylko działających, ale nawet urodzonych już po drugiej wojnie, sportowców i działaczy — ale bez wyjątku miłośników Tatr, będzie dostatecznie reprezentatywne, aby dać orientacyjną odpowiedź, który ze szczytów tatrzańskich uważamy za najpiękniejszy. Ankieta była przeprowadzona w sposób czysto statystyczny i bezmiennic, nie ma w niej więc uzasadnienia takiego czy innego wyboru, chociaż i to czasami się trafiało, zwłaszcza gdy odpowiadający

wymieniał dwa szczyty: jeden piękny obiektywnie, drugi — subiektywnie, z racji wiążących go z nim przeżyć. W takim przypadku do wyników ankiety wchodził tylko ten pierwszy.

W ankiecie wzięło udział 80 osób. Pierwsze dwa miejsca z równą ilością po 16 głosów zajęły Wysoka i narodowa góra Słowaków — Krywań.

Do ciebie wołam o zmierzchu
w żądź niedosiegu,
do ciebie serce me bije
jak miot,
tęsknoty tętnem —

Wysokiej ostrokręgu,
w broczących zórz rozpięzchu
jak grot
w chmur wrażą wbity szczyje
ostrzem nieskrętnym!

Do ciebie wołam w godzinie
szarego zmierzchu —
do ciebie krzyk mój serdeczny
się rwie
boleści echem —

zwodny Krywania wierzchu,
kedy na linie
we mgle
wisiałem ongiś mlecznej,
drog wypatrując z pośpiechem!

(W. Birkenmajer, 1930)

Trzecie miejsce zajął Mnich z 10 głosami, a czwarte Ganek — 8 głosów. Te cztery szczyty zdobyły prawie $\frac{3}{4}$ wszystkich głosów. Na dalszych miejscach znalazły się kolejno (w nawiasie liczba uzyskanych głosów): Lodowy (6), Pośrednia Grań (5), Łomnica (4), Miękusowiecki i Gierlach (po 3) i Widły (2). Po 1 głosie zdobyły: Giewont, Jastrzębia Turnia, Ostry Szczyt, Rumanowy, Zadni Mnich i Kasprowy Wierch. Jeden uczestnik ankiety odpowiedział, że „nie ma jakiegoś wyróżniającego się pięknnością szczytu w Tatrach (w naturze, nie na fotografii)”.

Ankieta miała charakter poważny i została też tak potraktowana. Jedynym przekornym wyjątkiem jest głos za Kasprowym Wierchem, nie można też wykluczyć, że podobna intencja kierowała oddającym głos na Giewont, aczkolwiek szczyt ten, tak zbanalizowany przez bezpośrednie sąsiedztwo Zakopanego, na pewno obiektywnie należy do najpiękniejszych w Tatrach.

Wynik ankiety przyniósł zwycięstwo szczytom słowackim; na trzecim miejscu uplasował się „rdzennie” polski Mnich. Na całej liście zresztą ogromną przewagę zdobyły szczyty leżące w całości na terenie Tatr słowackich, czemu trudno się dziwić zważywszy proporcje obszarów. Zdecydowaną też przewagę osiągnęły szczyty należące do kolosów tatrzańskich; do pierwszej dziesiątki wszedł między nie na wysoką pozycję tylko mały Mnich. Ten brak wielkości zdecydował też prawdopodobnie o niskiej pozycji najmniejszego chyba całkowicie samodzielnego, ale równocześnie nieskazitelnego w sztelistości swojej miniaturowej sylwetki szczytu tatrzańskigo — Zadniego Mnicha.

Mamy na liście szczyty, które oglądane z każdej strony są piękne i majestatyczne i

sluszenie chyba te właśnie znalazły się na jej czele. Nie brak jednak i takich, które swą pozycję zdobyły za jeden określony widok. Mnich jest piękny tylko od Morskiego Oka — ale jest to rząd piękności najwyższej klasy, który sprawił, że ta niewielka iglica stała się dla nas symbolem całych Tatr Wysokich. Lodowy imponuje tylko od północy, i to z daleka, a na wysokiej lokacji Ganku na pewno nie zaważył ogrom jego wypiętrzenia ponad Doliną Kacza, lecz ściana Galerii, wymieniana zresztą wprost przez paru uczestników ankiety. Kolejka linowa okrutnie się zemściła na Łomnicy, która przed jej wybudowaniem zdobyłaby chyba bezspornie palmę pierwszeństwa; nawet teraz, zeszpecona, znalazła swoich wielbicieli.

Ankieta jest tylko podsumowaniem opinii. Brak w niej uzasadnień, ataku i obrony. Dyskusja jest otwarta: czekamy na głosy; na głos za Krywanem, za Wysoką, za Mnichem — za moim szczytem. Jak przyjdzie — w kolejce — czas, zabiorę i ja głos za moim szczytem, który nie wszedł na pierwsze miejsce.

Ryszard W. Schramm

Okazuje się, że pomysł miesięcznika „Alpinismus” spodobał się nie tylko nam. Również „Krásky Slovenska” rozpisaly ankiety zatytułowane „Najpiękniejsza góra Słowacji”. Zebrano 35 wypowiedzi znanych alpinistów i działaczy górskich. Jeśli chodzi o pierwsze miejsca, wyniki są identyczne z naszymi: Krywań (9 głosów) i Wysoka (6 głosów). Dwa dalsze miejsca zdobyły Rozsutec (5 głosów) i Choc (3 głosy). W grupie gór, które otrzymały po jednym głosie znalazły się m. in. Rysy, Ostry Szczyt i Mały Kiełmarski. Wyraźną przewagę Krywania nad Wysoką łatwo wytłumaczyć szczególnym stosunkiem Słowaków do swej „narodowej” góry. Wypowiedzi zamieścily „Krásky Slovenska” w numerze 4/1967, s. 133—139. (Redakcja).

Polak czołowym andynistą

Yerupajá jest najwyższym szczytem Cordillera Huayhuash i jednym z najtrudniejszych na obszarze Południowej Ameryki. Jego główny wierzchołek — Yerupajá Grande, 6634 m — zdobyty został w r. 1950 przez Amerykanów, wierzchołek południowy (6515 m) — w 1958. W r. 1964 dwaj alpinisci — Peterek i Weber — odważyli się zaatakować zachodnią ścianę szczytu — do grani łączącej oba wierzchołki. Przedsięwzięcie się powiodło, a Anders Bolinder napisał o nim, że „oznacza początek nowej epoki w andynizmie”. Latem 1966 r. Jerzy Peterek zjawil się pod Yerupajá z zamiarem i przejścia 1000-metrowej ściany wschodniej, spadającej pod kątem 60°, niezwykle trudnej i niebezpiecznej. W dwójce z L. N. Pattersonem

(Norweg mieszkający w USA) spędził on w ścianie aż 15 dni (według ÖAZ — 12 dni), osiągając 12 VII główny wierzchołek (w ogóle II wejście na szczyt). Droga ta jest zdaniem komentatorów największym osiągnięciem roku 1966 w Andach, a wiadomość o niej uznały „Die Alpen” (10/1966 s. 210) za „jedną z najbardziej godnych uwagi w historii Andów”.

Miło nam odnotować, że Jerzy Peterek jest mieszkającym w Argentynie Polakiem. żywo związanym z Ojczyzną, którą — jak nas informuje Wiktor Ostrowski — zamierza wkrótce odwiedzić. Jego polską narodowość podkreślają wszystkie pisma zachodnie. Nasze piękne tradycje w andynizmie są więc godnie podtrzymywane.

Wyprawa „Burewiestnika” w Pamir

Anatolij G. Owczinnikow

Latem 1966 r. studenckie zrzeczenie sportowe „Burewiestnik” skierowało ekspedycję w Pamir, w rejon lodowca Fortambek. Głównym zadaniem było dokonanie wejścia na Pik Jewgienii Korżeniewskiej (7105 m), który jest czwartym co do wysokości szczytem Związku Radzieckiego. Lodowiec Fortambek splywa w kierunku doliny Muksu i jest jednym z najtrudniej dostępnych — to samo serce Pamiru. Rzadko odwiedzają go alpinści. Do lata 1966 r. Pik Korżeniewskiej został zdobyty zaledwie dwa razy: w r. 1953 przez grupę alpinistów ekspedycji WCSPS pod kierownictwem A. S. Ugarowa i E. A. Bieleckiego oraz w r. 1961 przez alpinistów zrzeczenia „Trud” pod kierownictwem B. Romanowa.

*

Użycie helikoptera uprościło zagadnienie transportu ludzi i bagaży w rejon obozu-bazy. Obóz ten założono na morenie lodowca Moskwinna na wysokości ok. 4000 m. Uczestnicy ekspedycji zebrał się w bazie w dniu 23 lipca 1966 r. Do 4 sierpnia trwała działalność rekonesansowa i aklimatyzacyjna. W ramach tej ostatniej wszyscy członkowie ekipy weszli na Pik Czetyrdech (6380 m), wznoszący się na południowy wschód od Pika Korżeniewskiej.

Zgodnie z planem, wejścia na Pik Korżeniewskiej realizowano trzema różnymi drogami: filarem południowej grani (kierownik L. Dobrowolskij), południową granią (kierownik W. Cetlin) oraz wschodnią granią (kierownik W. Bożukow). Wszystkie grupy weszły na szczyt, dokonując jednocześnie pierwszych wejść wymienionymi marszrutami.

A oto bardziej szczegółowy opis wejścia filarem południowej grani:

Pierwszego dnia grupa dotarła do wysokości 5100 m, gdzie założyła biwak. Następnego dnia przetrawersowano lodowy stok i osiągnięto podstawę filara. Jego kruchymi skałami alpinści wspinali się ze stałą asekuracją. Biwak założono na wysokości ok. 5900 m. Trzeciego dnia kontynuowano wspinaczkę filarem, na którym kruszyzna nie miała. Stromizna terenu sięgała miejscami 70° i nie pozwalała na zrezygnowanie ze sztywnej asekuracji. Kolejny biwak wypadł na wysokości 6500 m.

Na czwarty dzień przypada najtrudniejsza część drogi, wiodącej tu przez kruche, strome skały. Ich przebycie kosztowało zespół wiele wysiłku. Mimo zbliżania się do warstwy 7000 m nie odczuwano wpływu wysokości, widoczne było, że wszyscy uczestnicy dobrze się zaaklimatyzowali. Wieczorem osiągnięto południową grań (wysokość 6850 m) śnieżną tu i szeroką. Dopiero teraz — po raz pierwszy od wyjścia z bazy — udało się rozbić namiot i dobrze odpocząć. Pogoda popsua się, dookoła płynęły chmury, ale widoczność była zadowalająca. Piątego dnia alpinści sforsowali południową grań. Ledwie widoczne ślady pozostawione przez grupę W. Cetlina pozwalały pewnie poruszać się w warunkach zlej już teraz widoczności. Udało się więc tego dnia nie tylko dotrzeć do wierzchołka, ale nawet zejść do wysokości 6500 m. Szóstego dnia grupa powróciła do bazy.

Przebyta droga nie ustępuje trudnościami filarowi południowej ściany Szczytu Komunistu, który został pokonany przez grupę alpinistów pod kierownictwem K. Kuźmina w 1959 r.

*

Resztę pobytu poświęcono poznawaniu rejonu pod kątem widzenia możliwości do-

Pik Korżeniewskiej (7105 m) widziany od strony lodowca Moskwinna. Po prawej nowe drogi wschodnimi zebrami: grupy „Burewiestnika” kierowanej przez W. Bożukowa i grupy „Spartaka”, kierowanej przez P. Budanowa.

Fot. Jurij Borodkin





Pik Korzeniowskiej — widok od strony lodowca Fortambek. Z lewej grań północna z drogą grupy CSKA (kierownik A. Sniegiriew), z prawej południowa grań z drogą grupy „Burewiestnika” (kierownik W. Cetlin), w środku filar (żebro) południowej grani z drogą grupy L. Dobrowolskiej.

Fot. Jurij Borodkin

tarcia na Pamirskie Firnowe Plateau, aby z niego wejść na najwyższą górę Związku Radzieckiego — Szczyt Komunizmu (7495 m). Odkryto dwa warianty takiej możliwości: jeden od strony lodowca Waltera, drugi z lodowca Fortambek. Warto dodać, że latem 1966 r. na Pik Korzeniowskiej dokonali wejść dwie dalsze grupy: ekipa alpinistów zrzeszenia sportowego „Spartak” nową drogą (kierownik P. Budanow) oraz grupa alpinistów Armii Radzieckiej drogą pierwszych zdobywców (kierownik A. Sniegiriew).

(Tłum. Maciej Popko)

Omówione wyżej wejście filarem południowej ściany Pik Korzeniowskiej, dokonane przez zespół w składzie L. Dobrowolskiej, W. Głuchow, W. Iwanow, A. Masjukow, E. Mysłowski i A. Owczinnikow, należy do najlepszych osiągnięć radzieckiego alpinizmu w r. 1966. Komisja Sędziowska Federacji Alpinizmu ZSRR przyznała mu II miejsce w kategorii wejść kombinowanych powyżej 5000 m — po nagrodzonych złotymi medalami wyczynach na Pik OGPU (6058 m — zob. „Taternik” 1/1967, s. 5—6) oraz Pik Tadżykistan (6565 m). Ten ostatni został zdobyty przez 8-osobową grupę pod kierownictwem J. Kachianiego trudną 1800-metrową ścianą wschodnią (8 dni, 313 haków i 14 nitów). (Red.)

Zima 1967 w Alpach

Mimo na ogół nie najlepszej pogody, tegoroczny sezon zimowy przyniósł w Alpach kilka najwyższej klasy przejść, przede wszystkim w grupie Mont Blanc.

W dniach 31 I—6 II 1967 r. dwójka René Desmaison i Robert Flematty dokonała przejścia centralnego filara Freney (I wejście zimowe), w którego pokonaniu w sierpniu 1961 uczestniczył polski alpinista, Jan Długosz. Również w dniu 31 I 1967 dwaj Włosi, Angelo Bozzetti i Luigi Pramotton, zaatakowali 700-metrową zachodnią ścianę Aiguille Noire de Peutéréy drogą V. Ratti — L. G. Vitalli, uważaną za jedną z najtrudniejszych w całym Alpach (I przejście 18—20 VIII 1939). Wierchołek osiągnęli 2 II po południu i zabiwakowali w zejściu. Następnego dnia, już w pobliżu Fauteuil des Allemands wydarzył się wypadek, w którym zginął Bozzetti. Korzystając z utrzymującej się pogody czworo alpinistów francuskich postanowiła rozwiązać problem dyskutowany żywo również wśród polskich wspinaczy — lewą stronę północnej ściany Petit Dru. Przejście zajęło im 8 dni (7—15 II 1967), a nowa droga należyć będzie do trudniejszych w grupie Mont Blanc.

Północna ściana Matterhornu doczekała się tej zimy aż trzech przejść (V—VII). W dniach od 6 do 8 II 1967 r. przeszedł ją zespół japoński w składzie Konishi Masatsuga, Endo Jiro i Hoshino Takua. Warunki były wyjątkowo korzystne — mało śniegu, skała przeważnie sucha. Przejście powtórzył niebawem zespół brytyjski — Douglas Haston i Mike Burke (10—12 II 1967). Jako trzecia tej zimy pokonała północną ścianę Matterhornu — tym razem drogą Bonattiego — ekipa czechosłowacka. Niestety w pobliżu wierzchołka spadł 70 m i poniósł śmierć 25-letni S. Lednar z Bratysławy.

Na czoło dokonań zimowych w Dolomitach wysuwa się bez wątpienia I przejście zimowe znanej

z trudności i niebezpieczeństw obiektywnych 800-metrowej południowej ściany Marmolata di Rocca. Dokonali tego wyczynu dwaj Austriacy, Otto Wiedman i Walter Spitzstättner w dniach od 5 do 8 III 1967 r. (Drogę ścianą Marmolata di Rocca poprowadzili w roku 1936 E. Castiglioni i G. B. Vintatzer — zamieszczona w „Taterniku” 1-2/1964 s. 34 wzmianka o jej przejściu zimowym odnosi się do południowego filara głównego wierzchołka). Nie mniejszym sukcesem jest I przejście zimowe 1600-metrowego północnego filara Monte Agner (V+, droga z roku 1932), w lutym 1966 r. atakowanego przez zespół polski („Taternik” 3-4/1966 s. 96). Przejścia dokonali Sepp Mayerl oraz Heinrich i Reinhold Messnerowie w dniach 11—14 II 1967 r.

Nie jest to oczywiście pełna lista tegorocznych przejść zimowych w Alpach, lecz jedynie wybór kilku najbardziej wyróżniających się. Zamyka ją wyczyn dokonany z udziałem naszego reprezentanta, Eugeniusza Chrobaka — przejście Filara Boccalattego na Mont Blanc du Tacul (25—26 III 1967), co prawda tuż po upływie zimy kalendarzowej, ale za to w prawdziwie zimowych warunkach (zob. obok). Tak bogata seria osiągnięć przy stosunkowo słabej pogodzie jest dowodem, że w zimowe Alpy wspinacze ruszyli szerszym niż dotąd frontem. Wskazuje na to zestaw narodowości oraz nazwisk uczestników poszczególnych przejść, wśród których nie powtarza się żadne, a jedynie trzy lub cztery znamy z poprzednich sezonów. Tak więc pionierskie zimy między Mont Blanc a Matterhornem zaczynają się kończyć. Nie wyzyskaliśmy ich w pełni, ale też nie można powiedzieć, że minęły bez naszego udziału: polski wkład w zimową eksplorację Alp — zwłaszcza oceniany z uwzględnieniem warunków ogólnych — ma znaczenie istotne i wartość trwałą.

Józef Nyka

Na filarze Boccaslattego

Eugeniusz Chrobak

*Osiemsetmetrowy Filar Boccaslattego Mont Blanc du Tacul (4248 m) zastużenie cieszy się opinią jednej z najładniejszych klasycznych wspinaczek w całej grupie Mont Blanc. Jako pierwsi przeszli go G. Boccaslatte i N. Pietrasanta dnia 28 VIII 1936 r. W 10 lat później II i III przejścia dokonali z towarzysza-
mi G. Rébuffat (7 VIII 1946) i G. Gervasutti (8 VIII 1946). IV przejście stało się udziałem dwójki polskiej — T. Orłowskiego i W. Zulańskiego (16 VIII 1947). Jako piękny problem zimowy filar narzucał się wyraźnie — w zeszłym roku w Chamonix wiele o nim mówiono z okazji dramatycznej próby alpinistów czechosłowackich. W dniach 8—10 III 1965 J. Ďurana, I. Gálfy, L. Záhoranský oraz I. Urbanovič dotarli niemal do ¾ wysokości ściany. Tam zaskoczyło ich zalamanie pogody, które przez 65 godzin przeczekiwali w ciasnej dziupli śnieżnej, by 13 VIII wycofać się trudnymi zjazdami.*

*

W dniu 17 III 1967 r. wszedłem w Filar Boccaslattego wraz z Jerzym Michalskim. Wspinając się około 7 godzin pokonaliśmy 350 m wysokości ściany, w tym wariant skalny opisany w przewodniku Vallota jako IV—V. Przebyty przez nas odcinek nie był wprawdzie zbyt zaśnieżony, za to jednak bardzo mocno zalodzony, co wybitnie zwiększało trudności. O godzinie 15 pogoda uległa gwałtownej zmianie. Zaczął padać śnieg przy coraz to silniejszych atakach wiatru, które chwilami wręcz uniemożliwiały wspinaczkę. Już o 17-tej założyliśmy biwak ok. 100 m niżej od ostatniego biwaku czechosłowackiego — niezbyt wygodny i dodatkowo utrudniony wichura, która przez całą noc zmuszała nas do obrony płachty przed rozerwaniem. O 10 rano rozpoczęliśmy zjazd przy tak silnym wietrze, że momentami ledwo udawało nam się utrzymać równowagę.

23 III cała ekipa polska wyjechała z Chamonix, ja zatrzymałem się jeszcze na jeden dzień. Wobec znacznej poprawy pogody i propozycji wspólnej wspinaczki ze strony młodego przewodnika francuskiego, Michela Marchala, postanowiłem zostać kilka dni dłużej. W dniu 25 III wraz z Michelem oraz szwajcarskim alpinistą Marcellem Schneidrem wyjechaliśmy pierwszą kolejką na Ai-

guille du Midi z postanowieniem przejścia Filara Boccaslattego. Zima kalendarzowa już się co prawda skończyła, w górach jednak nic się przez to nie zmieniło: ściany były tak samo białe, jak parę dni temu, a na graniach mroźny wiatr podrywał chorągwie śniegu. Około godziny 10 weszliśmy w ścianę. Drogą podzieliliśmy się z Michelem: pierwszy dzień poprowadzę ja, znając dół ściany z próby z Michalskim, drugi dzień on, jako że zna tę partię z przejścia wariantu drogi Lachenala.

Pomimo solidnie ciężkiego plecaka z miejsca nadałem wspinaczce ostre tempo, tak że około godz. 14 osiągnąłem już miejsce naszego poprzedniego biwaku. Oszczędziłem też trochę na czasie stosując kilka nowych pasaży, które pozwoliły skrócić drogę o około 2 długości liny. O godzinie 19 mieliśmy już za sobą opisany w przewodniku 80-metrowy odcinek mieszanego terenu lodowo-skalnego (nastromienie lodu powyżej 60°) i przewinęliśmy się na lewą stronę filara. Biwak założyliśmy na 2 półkach około 200 m wyżej od naszego poprzedniego biwaku z Michalskim i ok. 80 m wyżej od ostatniego biwaku Czechosłowaków. Michel i Marcel biwakowali w płachcie, ja niżej od nich — w śpiworze. Noc zaczęła się przy cudnej pogodzie. Blask księżycy w pełni odbity od śniegów był tak silny, że można było czytać gazetę. Ponieważ mieliśmy z sobą małe tranzystorowe radio, wysłuchaliśmy bardzo optymistycznej prognozy meteorologicznej z Genewy. Tymczasem już około godz. 3 nad ranem rozpoczęła się prawdziwa alpejska zawierucha. Śnieg sypał gęsto, a porywy wichury czyniły spustoszenie w naszym sprzęcie biwakowym.

Rano mój śpiwór był przemoczony na wylot, a w dodatku przysypany zaspą śniegu. Mimo iż mieliśmy już za sobą trzy czwarte trudności, dokończenie drogi stało pod znakiem zapytania. Michel nalegał, by zjeżdżać — oponentem byłem ja, z rzadka tylko uzyskując poparcie chwiejnego Marcela. Wreszcie — gdy już zaczęliśmy odwrót — udało mi się ich przekonać. Zdecydowaliśmy się iść do góry — na razie na wierzchołek Mont Blanc du Tacul. Zejście zeń w tych warunkach trudno było sobie wyobrazić i tego najbardziej obawiał się Michel. Przed sobą mieliśmy już tylko 1/3 wysokości ściany — około 12 wyciągów. Podczas wspinaczki po-



Mont Blanc du Tacul (4248 m) — filar Boccaslattego. Kółkami oznaczono biwaki: dolnym — z próby Chrobaka i Michalskiego, górnym — z właściwego przejścia. Na prawo lodowy żleb Gervasuttiego (drogi 1929 i 1934), z lewej Aiguilles du Diable, a po nimi lodowa depresja z drogą z r. 1930

Fot. Lucjan Saduś

widoczność była niemal równa zeru. W trakcie zejścia zorientowaliśmy się, że idziemy źle, kontynuowaliśmy jednak drogę sądząc, że schodzimy na Col du Midi. Sprawa wyjaśniła się niebawem na naszą niekorzyść: kuluar, w którym zabłądziliśmy, spadał wprost w kierunku Grands Mulets przez absolutnie niedostępne urwiska lodowe. Rozpoczęliśmy męczący powrót na szczyt, z mozołem pokonując w górę te same bariery seraków, które niedawno przebywaliśmy w dół. Z podszczytowego plateau rozpoczęliśmy ponowne zejście, tym razem w prawidłowym kierunku, o czym upewniło nas późniejsze przejaśnienie. Była godzina 22 gdy okryci lodowymi skorupkami osiągnęliśmy stację kolejki na Aiguille du Midi.

Piękny i zupełnie nieoczekiwany sukces cieszył nas ogromnie, a już najbardziej Michela, dla którego — zawodowego przewodnika — oznaczał poza wszystkim innym rozgłos, klientów i... pieniądze.

goda poprawiła się nieco, nastąpiły chwilowe przejaśnienia, a nawet momenty, kiedy ukazywało się słońce. Potem znowu się pogorszyło. O godzinie 13 osiągnęliśmy wierzchołek — w nieprzeniknionej mgle i przy ciągłym opadzie śniegu.

Od krzyża wieńczącego szczyt zaczęliśmy marsz przez plateau podszczytowe — wyłącznie na podstawie kompasu i mapy, gdyż

Nota. W ścianę zabraliśmy 2 kurtki puchowe, spodnie puchowe, śpiwór, płachtę biwakową, masynekę butanową, 2 liny 40-metrowe, sznur 40-metrowy (nie używany), ok. 30 haków (w tym sporo doskonałych haków amerykańskich), 2 pary ławeczek (nie używane), 2 czekanomiotki, 1 czekan, 3 pary raków (moje 10-zębne „Everesty” do takiej wspinaczki okazały się fatalne). Na nogach miałem polskie buty „Rysy”, które szybko zamieniły się w bryły lodu. Zupełnie nie odpowiadał mi francuski zestaw jedzenia, oparty głównie na słodyczach. Pod tym względem nasze polskie przyzwyczajenia są znacznie racjonalniejsze: lepiej dźwigać kilogram więcej, niż wspinać się o głodzie, zwłaszcza w trudnych warunkach zimowych.

W zeszytach 3-4/1966 przyniósł „Taternik” krótkie omówienie IV Polskiej Wyprawy w Hindukusz, zorganizowanej przez Koło Krakowskie KW. Niniejszy numer zawiera materiały szczegółowe — nie wszystkie jednak, gdyż nie zmieściłyby się one nawet w pełnej objętości zeszytu. Choć w finale tragiczna, wyprawa przyniosła bogate wyniki i chyba jeszcze bogatsze doświadczenia — pozytywne i negatywne. Góry Salang i Paghman (artykuły o nich zamieścimy w numerze 3/1967) — to nowe dla alpinizmu polskiego rejony. Duże wartości odkrywcze wniósł wypad w masyw Sad Isztrag, dotąd przez alpinistów nie odwiedzony. 8 osób — w tym 7 Polaków — stanęło na wierzchołku Noszaka (7492 m, IV i V wejście, częściowo z trawersowaniem wszystkich wzniesień). Wyprawa dokonała

pierwszych wejść na 6 szczytów pięciotyśięcznych, z czego bez wątpienia najcenniejszym jest Sad Isztrag (5859 m). Ładne osiągnięcie sportowe stanowi I przejście lodowej ściany Gumbaz-e Safed (ok. 6800 m). Podwyższony został polski kobiecy rekord wysokości, który od roku 1951 należał do Marii Korabiewicz. Isabelle Agresti ustanowiła jeden ze światowych rekordów w tej mierze. Wracając do kraju 5 uczestników wyprawy weszło na Damawand (5605 m), najwyższe wzniesienie Iranu.

W przygotowaniu materiałów do niniejszego numeru z redakcją ściśle współpracował Jerzy Wala, kierownik techniczny wyprawy, którego dziełem jest m. in. cały materiał kartograficzny i ilustracyjny.

Redakcja

ROMAN ŚLEDZIEWSKI

IV Polska Wyprawa w Hindukusz

IV Polska Wyprawa w Hindukusz została zorganizowana siłami środowiska krakowskiego jako oficjalna wyprawa Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego. Rejonem działania była dolina Kazi Deh. W wyprawie udział wzięli: Marian Bała, Danuta Topczewska-Baranowska, Maciej Baranowski, Andrzej Heinrich, Maciej Kozłowski, Andrzej Mróz, Adam Pachański (lekarz), Jacek Poręba, Jerzy Potocki, Ryszard Rodziński, Lucjan Saduś, Ewa Śledziwska, Roman Śledziwski (kierownik), Jerzy Wala (kierownik techniczny), Dobiesław Walknowski (kierowca) i Ryszard Zawadzki — wszyscy członkowie Koła Krakowskiego KW. Ponadto: Janusz Wojtusiak (biolog, pracownik UJ) i 3 zaproszeni goście zagraniczni — Jean Bourgeois (Belgia) oraz Henri i Isabelle Agresti (Francja, członkowie GUMS). Isabelle Agresti dołączyła na miejsce Raymonda Coene, który zrezygnował z udziału w wyprawie.

Kontynuując działalność poprzednich polskich wypraw, IV PWH postawiła sobie za cel szersze wprowadzenie w Hindukusz techniki alpejskiej, pobicie polskiego kobiecego rekordu wysokości, dalszą eksplorację Hindukuszu Wysokiego oraz zdobycie nowych materiałów topograficznych i naukowych.

Organizacja wyprawy

Wyprawa natrafiła na splot wyjątkowo niesprzyjających wypadków, które nie tylko spowodowały opóźnienie wyjazdu o blisko miesiąc, ale również poważne przekroczenie preliminowanego budżetu. Oto kilka najważniejszych dat:

Maj 1965 — powołanie Komitetu Organizacyjnego Wyprawy, sprecyzowanie założeń programowych (jako cel sportowy obrany zostaje filar Szachaura); decyzja o przejeździe samochodem.

Czerwiec 1965 — porozumienie z Kołem Poznańskim odnośnie wspólnego prowadzenia przygotowań; zestawienie listy kandydatów.

Październik 1965 — opracowanie wstępnego kosztorysu i programu wyprawy, ustalenie ilości osób; wiadomość o rezygnacji Koła Poznańskiego z udziału w wyprawie.

Listopad 1965 — sprecyzowanie warunków i kosztów przejazdu samochodem.

Grudzień 1965 — zatwierdzenie składu osobowego przez Komitet Organizacyjny Wyprawy i Zarząd Koła Krakowskiego KW. Wstępna zgoda GKKFiT na organizację wyprawy. Rozpoczęcie wpłat przez uczestników.

Styczeń 1966 — nawiązanie kontaktu z FSC w Starachowicach w celu uzyskania samochodu; wstępna korespondencja z Belgami, J. Bourgeois i R. Coene; audiencja u Ambasadora Królestwa Afganistanu, na której Prezes KW, Cz. Bajer, w towarzystwie B. Chwaścińskiego i kierownika wyprawy, R. Śledziwskiego, przedstawia założenia ekspedycji.

Luty 1966 — wypełnienie i złożenie wniosków paszportowych, opracowanie zestawów sprzętu i żywności, próby do instytucji i władz w celu uzyskania dodatkowych środków finansowych, bądź przydziału sprzętu i materiałów. Nawiązanie kontaktu listownego z GUMS, która proponuje udział alpinistów francuskich w wyprawie.

Marzec 1966 — zaczynają napływać pierwsze lekarstwa i żywności; ZG ZSP zawiadamia o dofinansowaniu studentów, wiadomość z MSZ o zgodzie Afganistanu na przyjęcie wyprawy; początek badań lekarskich i szczepień.

Kwiecień 1966 — rozpoczęcie treningów kondycyjnych i seminariów z topografii Hindukuszu, złożenie formularzy wizowych, odbiór samochodu z FSC, pobranie sprzętu z magazynu ZG KW.

Maj 1966 — pierwsze wpłaty dewizowe ze strony uczestników zagranicznych. 16. V — wiadomość o wstrzymaniu wyprawy przez Komisję Międzyresortową i zawieszeniu postępowania paszportowego; trudności ze zdobyciem przyczepy; uzyskanie dotacji od MKKFiT w Krakowie i od Dyrekcji Huty im. Lenina.

Czerwiec 1966 — gorączkowe poszukiwanie przyczepy, pakowanie żywności i lekarstw, memoriał do ZG KW i GKKFiT w sprawie uchylenia zawieszenia wyprawy. 24. VI — rozmowa u naczelnika M. Hary w GKKFiT, który zawiadamia nas o cofnięciu decyzji i ponownym wszczęciu postępowania paszportowego.

Lipiec 1966 — wyprawa uzyskuje przyczepę od Krakowskiego Przedsiębiorstwa Robót Telekomunikacyjnych; Ambasada Afganistanu uzależnia udzielenie wiz od sprecyzowania rejonu działania wyprawy, przy czym zawiadamia nas o zamknięciu strefy przygranicznej. Po interwencji MSZ otrzymujemy wizy. Wobec trzęsienia ziemi w Taszkencie, „Aeroflot” odmawia rezerwacji miejsc lotniczych; zachodzi konieczność zmiany założeń przejazdu.

10. VII obciążony dodatkowo samochód wyjeżdża z Krakowa, jednak wskutek awarii skrzyni biegów stoi do 12. VII na Łysej Polanie. Pozostałe 12 osób uzyskuje połączenie lotnicze przez Pragę, Damaszek i Teheran do Kabulu. 19. VII następuje odjazd z Warszawy.

Porównując zestawione daty można dojść do wniosku, że wyprawa została przygotowana przez Komitet ostatecznie wcześniej, i z wyjątkiem sprawy przyczepy, która w ostatnich dniach czerwca urosła do krytycznego problemu, nie popełniono tutaj większych przeoczeń. Poważnym zagrożeniem z zewnątrz stała się decyzja Komisji Międzyresortowej, która wobec niejasnego stanowiska władz afgańskich odwołała wyprawę niemalże w przededniu wyjazdu. Uchylenie tej decyzji kosztowało blisko miesiąc niezwykle denerwujących rozmów i zabiegów, tym bardziej przykrych, że Komitet Organizacyjny był poważnie zaangażowany prestiżowo na terenie miasta i województwa krakowskiego. W tym czasie sprzęt był już spakowany, dobiegało końca pakowanie leków i żywności, a Komitet zaciągnął szereg zobowiązań odnośnie oceny lekarstw, jak też jakości i opakowania różnego rodzaju żywności w warunkach długiego transportu samochodowego. Sytuacja wyjaśniła się po rozmowie w GKKFiT, ale na tym trudności bynajmniej się nie skończyły. Ambasada Królestwa Afganistanu powiadomiła nas o wprowadzeniu strefy przygranicznej, do której cudzoziemcom wjazd został w zasa-

dzie wzbroniony. W związku z tym odmówiono wyprawie udzielenia wizy wjazdowej ze względu na to, że obiektem naszego zainteresowania był Hindukusz Wysoki leżący całkowicie w tej strefie. Dopiero interwencja na szczeblu MSZ pozwoliła na zmianę stanowiska ambasady, co kosztowało organizatorów sporo czasu i zachodów.

Tymczasem z Taszkentu nadeszły dalsze niepokojące wieści, które z kolei zagroziły w poważny sposób organizacji wyprawy. Na skutek ustawicznych trzęsień ziemi w tym rejonie, władze radzieckie wstrzymały cudzoziemski ruch turystyczny w tym kierunku, a „Aeroflot” odmawiał nam rezerwacji miejsc lotniczych na trasie Taszkent—Kabul i Moskwa—Kabul. Po gorączkowej naradzie postanowiono doładować samochód i powiększyć ilość uczestników jadących nim do 8 osób. Spowodowało to jego przeciążenie o ok. 1 tonę w stosunku do normy fabrycznej, a tym samym wolniejszą jazdę i większą możliwość awarii. W dniu wyjazdu samochodu z Krakowa koncepcja podróży pozostałych uczestników nie była jeszcze jasna. Na szczęście w ostatniej chwili wyprawa uzyskała przyczepę 0,5 t, która pozwoliła na nieznaczne rozładowanie samochodu. Nie długo trwała jednak radość; już z Łysej Polany nadeszła wiadomość, że samochód ma awarię skrzyni biegów. Dzięki niezwykle przychylnemu stanowisku inż. Kozłowskiego z FSC, ekipa fabryczna usunęła uszkodzenie i po dwóch ciężkich dniach część wyprawy opuściła granice Polski.

Wobec braku innych możliwości, pozostali uczestnicy zdecydowali się na droższy o ok. 50% przelot z Pragi do Kabulu, przy czym wobec przekroczenia kwot preliminowanych na podróż, nie pozostało nic innego, jak zdecydować się na powrót uczestników do kraju samochodem. Ponieważ wyjazd samochodu uniemożliwił odkupienie dodatkowej żywności na ten cel, oznaczało to konieczność skrócenia akcji górskiej do ok. 30 dni, w celu wygospodarowania rezerw żywności.

Zabezpieczenie finansowe realizacji wyprawy zostało od początku oparte na wpłatach uczestników oraz na dotacji ZG KW i ewentualnych dotacjach władz terenowych. Zabezpieczenie odpowiedniej kwoty dewiz miały zagwarantować wpłaty uczestników zagranicznych. Komitet Organizacyjny zwrócił się nadto z prośbą o dotacje względnie nieodpłatny przydział materiałów, żywności i lekarstw do szeregu osobistości i instytucji z terenu naszego województwa i całego kraju. Zabiegi te spotykały się na ogół z życzliwym zrozumieniem i zainteresowaniem.

W ramach przyjętych na siebie w zamian zobowiązań staraliśmy się dostarczyć sprawozdań o zachowaniu się żywności i jej opakowań w warunkach wysokogórskich i pod-



Widok z Kuh-e Sesar (5417 m) na południe. 1 i 2 — szczyty 7276 i 7373 m w masywie Istor-o Nal; 3 — Szingeik Zom (7291 m); 4 — Darban Zom (7219 m); 5 — Gumbaz-e Safed (ok. 6800 m); 6 — Kondź; 7 — M9 (6028 m); 8 — M10 (ok. 5580 m). Wrysowana droga zespołu A. Mróz, J. Poręba i R. Zawadzki.

Fot. Lucjan Sadus

czas ciężkiego transportu samochodowego, o skuteczności działania i jakości opakowań naszych leków itp.

Ze strony ZG KW wyprawa otrzymała wszechstronną pomoc w postaci przede wszystkim sprzętu wyprawowego, wypożyczonego z magazynu ZG KW bądź specjalnie zakupionego, a także pomoc finansową w ramach niedużej dotacji i opłat za paszporty. Cenna była dla nas również współpraca biura ZG KW.

W okresie organizacyjnym praca została oparta na zespołach zajmujących się poszczególnymi zagadnieniami: zestawieniem i zakupem żywności, budżetem i finansami, przygotowaniem i pakowaniem sprzętu, propagandą i kontaktami oficjalnymi, opracowywaniem map, programów i instrukcji, realizacją treningów, prowadzeniem sekretariatu i przygotowaniem samochodu. Skompletowaniem apteki, badaniami uczestników i szczepieniami zajmował się lekarz wyprawy. Praca zespołów przebiegała na ogół sprawnie, a często zachodziła konieczność mobilizacji wszystkich wolnych uczestników do przeprowadzenia jednej akcji. Pomocą służyli nam także uczestnicy rezerwowi, jak również koledzy nie związani z wyprawą, którym za to winniśmy wdzięczność.

Po przylocie do Kabulu należało przede wszystkim rozwiązać wielką niewiadomą,

jaką był przysły rejon działania wyprawy. Sprawy tej zapewne nigdy nie rozwiązaliśmy pomyślnie, gdyby nie pomoc ambasadora PRL w Kabulu, J. Petrusa, którego osobiste kontakty w afgańskim MSW pozwoliły na udostępnienie nam rejonu doliny Kazi Deh i Noszaka. Trzeba z naciskiem podkreślić, że wyprawa nasza była w roku 1966 jedyną, która uzyskała pozwolenie na działalność w Hindukuszu Wysokim od strony północnej, a wiadomo mi na pewno, że szereg wypraw o takie pozwolenie zabiegało. Fakt ten zawdzięczamy też niewątpliwie wcześniejszej wizycie min. A. Rapackiego w Afganistanie, o czym pisał „Taternik” 1-2/1966 s. 52.

Kabul—Kazi Deh

21. VII przylot dwunastu uczestników wyprawy do Kabulu i zakwaterowanie w Ambasadzie PRL, u radcy Mostowicza i inż. Gniadzika. 22. VII przyjęcie z okazji Święta Odrodzenia Polski. 23. VII dwie audyencje w MSW, po których wyprawa uzyskuje zezwolenie na działalność w rejonie doliny Kazi Deh. 25. VII dziewięć osób wyrusza w celach aklimatyzacyjnych w góry Paghman (ok. 4500 m). Od 25 do 28. VII Wala i Siedzewski studują w Instytucie Kartografii fotoplany Hindukuszu. 27. VII wraca grupa z Paghmanu; z Teheranu nadchodzi wiadomość o wyjeździe samochodu.

1. VIII wyjazd 8 osób w okolice przełęczy Salang; wejścia aklimatyzacyjne na szczyty sięgające prawie 5000 m. 3. VIII przyjeżdża oczekiwany samo-

chód, dowiadujemy się, że Belg Coene zrezygnował z udziału w wyprawie, a na jego miejsce przylatuje pani Isabelle Agresti. Rozpakowany samochód zostaje poddany przeglądowi i remontowi.

7. VIII w południe wyjazd z Kabulu, wieczorem spotkanie z resztą grupy na przełęczy Salang. Aby przyspieszyć dojazd, 8 osób jedzie równoległym wynajętym samochodem aż do Faizabadu. 9. VIII wieczorem spotkanie wszystkich w Faizabadzie. 10. VIII wizyta u gubernatora Badachschanu, rozładowanie samochodu do połowy, o godz. 18 wyjazd całej wyprawy i nocleg w dolinie Warudź. 11. VIII Iszkaszim; sprawdzenie naszego pozwolenia, otrzymujemy eskortę dwóch żołnierzy; o godz. 16 rozładowanie samochodu w Kazi Deh.

12. VIII. W górę rusza pierwsza karawana tragarzy, samochód z Walknowskim i Sledziwskim zjeżdża w 10 godzin do Faizabadu, by po załadowaniu reszty bagażu wyprawy wrócić 14. VIII do Kazi Deh.

Kronika działalności górskiej

12. VIII. Karawana podchodzi do wylotu doliny Mandaras. Tragarze odmawiają dalszej drogi i większość z nich schodzi w dół. Bała, Heinrich i Saduś biwakują na wysokości 4250 m ponad dolną częścią doliny. 13. VIII oczekiwanie na tragarzy. 8 osób podchodzi w górę doliny Mandaras i wraca. Bała, Heinrich i Saduś wchodzą grania zachodnią (III—IV) na szczyt zwornikowy około 5200 m i stąd grania na główny wierzchołek 5417 m; biwak 100 m poniżej szczytu nad północną ścianą.

14. VIII karawana dochodzi do miejsca, gdzie zachodni lodowiec Gumbaz-e Safed łączy się z lodowcem Kazi Deh. Tu zostaje założona baza. Bała, Saduś i Heinrich schodzą przez północną ścianę szczytu 5417 m (IV—V) i biwakują nad ajlakiem Duszak. Mróz, Poreba i Zawadzki wyruszają na M 10. Do Kazi Deh wraca samochód z resztą bagażu.

15. VIII trwa urządzenie bazy. We wsi Kazi Deh Bała, Heinrich, Saduś, Sledziwski i Walknowski przepakowują bebnę i organizują drugi rzut karawany. Mróz, Poreba i Zawadzki osiągnęli M 10 (5700 m) i biwakują w zejściu. I. i H. Agresti, Bourgeois, Potocki i Kozłowski wychodzą w kierunku Wachan Gol.

16. VIII druga karawana wychodzi z Kazi Deh i dociera do wylotu doliny Mandaras. Z bazy wyruszają Baranowska, Baranowski, Pachański i Sledziwska na szczyt 5243 m.

17. VIII karawana dociera do bazy. Baranowski, Baranowska, Pachański i Sledziwska wchodzi na jeden z wierzchołków szczytu 5243 m i wracają do bazy. Szczytowi nadają nazwę „Kuh-e Kuczek”. I. i H. Agresti wchodzi na dwa wierzchołki po ok. 5400 m sąsiadujące z Sad Isztrag An. Bourgeois, Kozłowski i Potocki osiągnęli północną granicę szczyt Sad Isztrag (5859 m).

18. VIII dwaj tragarze znoszą bagaż na miejsce bazy wysuniętej, kursując wahadłowem. Wracają uczestnicy wypadu do Wachan Gol. Pogoda się psuje, w nocy pada śnieg.

20. VIII. W bazie odbywa się zebranie, które prowadzi J. Wala. Brak chętnych na trawers Gumbaz-e Safed — Noszak. W wyniku losowania Heinrich i Saduś zamierzają pójść na zachodnią ścianę Gumbaz-e Safed, a pozostali uczestnicy na Noszak. Po południu dwaj pierwsi wyruszają pod ścianę.

21. VIII Saduś i Heinrich docierają do 2/3 wysokości ściany Gumbaz-e Safed. Bourgeois, Potocki. Mróz i Kozłowski zakładają obóz I na grzędzie Noszaka, gdzie nocują.

22. VIII Bourgeois, Mróz, Kozłowski i Potocki wynoszą sprzęt na miejsce obozu austriackiego i schodzą do bazy wysuniętej. Trwa zaopatrywanie obozu I, gdzie dochodzą Baranowska, Poreba i Zawadzki.

23. VIII Saduś i Heinrich osiągnęli rano szczyt Gumbaz-e Safed (ok. 6800 m — II wejście, nowa

droga) i schodzą. Baranowska, Poreba i Zawadzki zakładają obóz II na wysokości 6200 m i wracają do bazy. I. i H. Agresti dochodzą do obozu I, gdzie nocują.

24. VIII I. i H. Agresti podchodzą do obozu II, Bała, Sledziwski, Wala, Kozłowski i Potocki dochodzą do obozu I.

25. VIII I. i H. Agresti wracają do bazy. Bała, Sledziwska i Wala dochodzą do obozu II i wracają do bazy wysuniętej. Kozłowski i Potocki osiągnęli obóz II, gdzie nocują. Bourgeois, Mróz, Poreba i Zawadzki dochodzą do obozu II. Dochodzą do nich i nocują w obozie I Heinrich, Rodziński i Wojtusiak.

26. VIII Kozłowski i Potocki usiłują sforsować barierę skalną, jednak wskutek mgły wracają i nocują w obozie II. Bourgeois, Mróz, Heinrich, Poreba i Zawadzki dochodzą do obozu II, skąd trzej ostatni wracają do obozu I. Rodziński i Wojtusiak dochodzą do obozu II i wracają do bazy wysuniętej.

27. VIII Kozłowski, Mróz, Bourgeois i Potocki forsują barierę i zakładają obóz III; na noc schodzą do obozu II, gdzie z dołu docierają Heinrich, Poreba i Zawadzki. Bała i Saduś dochodzą do obozu I i nocują. Baranowska i Sledziwski rezygnują z oblegania Noszaka i zakładają obóz pomocniczy z zamiarem wejścia na Asp-e Safed.

28. VIII Poreba, Mróz, Bourgeois i Potocki dochodzą do obozu III, gdzie nocują. Bała i Saduś podchodzą do obozu II i nocują. Baranowska i Sledziwski dochodzą na Przełęcz Południową, dalej na Asp-e Safed (6400 m) wchodzi Baranowska i Sledziwska. Cała trójka wraca do obozu na lodowcu.

29. VIII Bała i Saduś osiągnęli obóz III, ponieważ zastają go zajęтым, nocują w obozie II. Poreba schodzi do obozu II i wraca do III. I. i H. Agresti, Rodziński, Wala i Wojtusiak dochodzą do obozu I. Baranowska schodzi do bazy wysuniętej, a Sledziwski nocują u wylotu Lodowca Polaków.

30. VIII Bourgeois, Mróz, Heinrich, Kozłowski, Potocki i Poreba wchodzi na wszystkie trzy wierzchołki Noszaka i nocują w obozie III. Zawadzki czuje się źle i wraca samotnie do obozu II. Bała i Saduś dochodzą do obozu III. I. i H. Agresti, Rodziński, Wala i Wojtusiak dochodzą do obozu II. Sledziwski wchodzi poprzez Lodowiec Polaków na Chorpuzt-e Jachi (5698 m — III wejście) i wracają do bazy wysuniętej. Baranowski wchodzi na Q 23 (ok. 5000 m — II wejście) i nocują w bazie wysuniętej.

31. VIII Bourgeois, Mróz, Heinrich, Kozłowski i Potocki nadal przebywają w obozie III. Bała i Saduś osiągnęli główny wierzchołek Noszaka i wracają do obozu II. I. i H. Agresti dochodzą do obozu III. Rodziński, Wala i Wojtusiak wychodzą do obozu III, ale zwracają i nocują w obozie II. Poreba schodzi do obozu II. Przebywający w obozie II Zawadzki czuje się bardzo źle.

1. IX Mróz dostaje ataku choroby wysokościowej. Kozłowski sprowadza go do obozu II. Bourgeois, Heinrich i Potocki decydują się wyjść na trawers północno-zachodnich stoków Noszaka, aby zaatakować Darban Zom i szczyt 7291. Tego dnia nie udaje im się osiągnąć przełęczy i nocują na lodowcu. I. i H. Agresti zdobywają szczyt Małego Noszaka i nocują w obozie III. Bała, Saduś, Poreba i chory Zawadzki schodzą do obozu I, pierwsi dwaj idą dalej aż do bazy wysuniętej. Rodziński, Wojtusiak i Wala ponownie próbują osiągnąć obóz III, ale zwracają.

2. IX Bourgeois, Heinrich i Potocki osiągnęli siodło przełęczy i zwracają do namiotu. Rodziński, Wojtusiak i Wala osiągnęli obóz III. Mróz i Kozłowski schodzą do bazy wysuniętej. Do obozu I idą Pachański i Sledziwski. lekarz udziela pomocy Zawadzkiemu. I. i H. Agresti schodzą do bazy wysuniętej. Wieczorem psuje się pogoda, wzrost zachmurzenia od wschodu, w nocy opad śniegu.

3. IX Bourgeois, Heinrich i Potocki decydują się na przeczekanie niepogody w namiocie. Po godzinie Rodziński, Wojtusiak i Wala w obozie III. W górze silny wiatr z opadem śniegu.

Powrót do kraju

4. IX Bourgeois, Heinrich i Potocki decydują się na odwrót do obozu III. W trakcie trawersowania schodzą na nich lawiny, z których dwie porywają i zasypują Potockiego oraz ranią Bourgeois i Heinricha. Kilkugodzinne poszukiwania Potockiego nie dają rezultatu. Pozostała dwójka rozbija namiot w bezpiecznym miejscu i nocuje. Rodziński, Wojtusiak i Wala wycofują się do obozu I. W bazie Kozłowski i Mróz chorują. Trwa opad śniegu.

5. IX Bourgeois i Heinrich spędzają dzień w namiocie, bez jedzenia i paliwa. Nadal trwa śnieżycza. Do bazy wracają Rodziński, Wojtusiak i Wala.

6. IX Pogoda nieco się poprawia. Odcięta dwójka usiłuje dotrzeć do obozu III. Bourgeois decyduje się na samotne zejście ścianą z przełęczy wprost na prawe odgałęzienie lodowca Kazi Deh. Wychodzi pierwsza dwójka grupy rekonesansowej — Kozłowski i Sadaś. Ponieważ Sadaś okazuje się nadal niezdolny do akcji, zmienia go Poręba. W ciężkich warunkach dwójka ta dochodzi do obozu I.

7. IX Heinrich spędza dzień w namiocie, a wieczorem bezskutecznie nadaje sygnały do bazy wysuniętej. Bourgeois, po biwaku w ścianie, dociera wieczorem wyczerpany do bazy wysuniętej, skąd zostaje sprowadzony do bazy. Kozłowski i Poręba osiągają obóz II. Wieczorem odbierają sygnały, które źle odczytują jako zakończenie akcji. Sadaś schodzi do Kazi Deh.

8. IX Heinrich dociera do obozu III. Kozłowski i Poręba — w przekonaniu, że akcja jest zakończona — likwidują obóz II i zaczynają schodzić. Po 200 m spotykają Bałę i Walę, odbierają od nich lekarstwa i z namiotem szturmowym podchodzą do miejsca obozu austriackiego, gdzie nocują. Wala i Bała wracają wyczerpani do bazy wysuniętej. Agresti i Sledziwski dochodzą do obozu I. Nie zaangażowani w akcję schodzą do Kazi Deh.

9. IX Kozłowski i Poręba osiągają obóz III, gdzie następuje spotkanie z Heinrichem. Schodzą razem na biwak w miejsce obozu austriackiego, gdzie z dołu docierają Agresti i Sledziwski.

10. IX cała piątka schodzi do bazy wysuniętej, równocześnie odbywa się likwidacja obozów III i II. Wala likwiduje część obozu I.

11. IX Bała dochodzi do obozu I i likwiduje go. Pakowanie i likwidacja bazy wysuniętej. Z bazy rozpoczyna się ewakuacja chorych: Heinricha, Bourgeois, Zawadzkiego, Wali i Poręby (angina).

12. IX Bała, Kozłowski i Sledziwscy likwidują bazę. Przychodzi część tragarzy. Na bocznej mordernie nad bazą wyrwany zostaje na płycie kamiennej napis: „Jerzy Potocki 4.IX.1966”.

13. IX Bała, Kozłowski i Sledziwscy schodzą z karawaną do Kazi Deh, gdzie następuje spotkanie wszystkich uczestników.

W dniach od 14 do 19 IX wyprawa wraca z Kazi Deh przez Chanabad do Kabulu. Tutaj następuje załatwianie formalności związanych ze śmiercią Potockiego. Samochód zostaje poddany generalnemu remontowi, trwa załatwianie wiz irańskiej i tureckiej. W ambasadzie PRL odbywa się sprawozdawcza konferencja prasowa. Uczestnikami wyprawy opiekują się Ambasador J. Petrus i inż. S. Kozłowski, udzielając im wszechstronnej pomocy. Ze względu na duże opóźnienie, kierownik zezwala na indywidualny powrót uczestników do kraju. Z uwagi na zły stan zdrowia Heinricha, odlatuje on wraz z Sledziwską samolotem do Moskwy, skąd pociągiem przybywają 27.IX do Warszawy. Bała rusza autostopem i dociera do Krakowa 16.X.

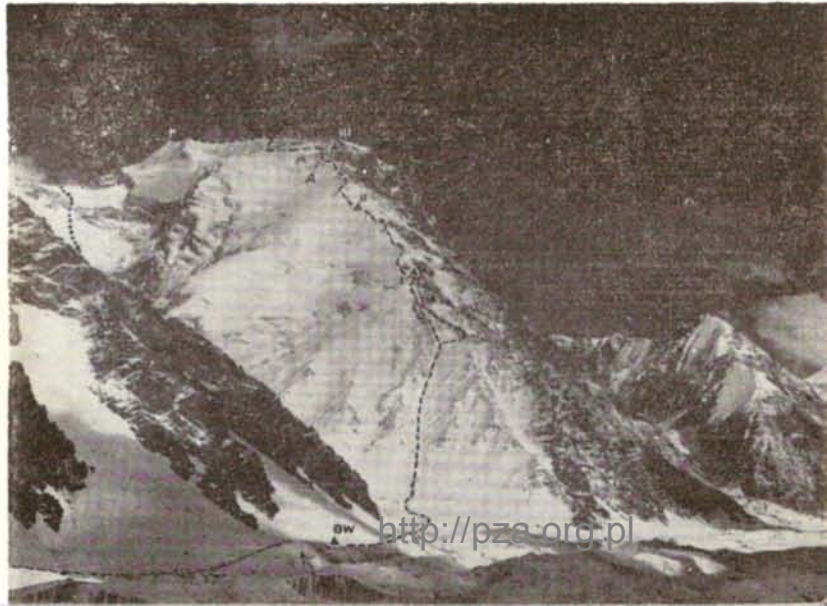
Samochód z 16 osobami wyjeżdża 29.IX i 5.X osiąga Teheran. Koło miejscowości Taiebad w przyczepie urywa się koło, wskutek czego ulega ona zniszczeniu. W Teheranie następuje kolejna naprawa samochodu. Korzystając z tego Mróz, Sadaś, Rodziński, Wala i Agresti wchodzi 8.X na najwyższy szczyt Iranu, Demawand (5604 m). Wyprawa korzysta z gościny Ambasadora PRL w Teheranie, skąd odjeżdżają autostopem Kozłowski (w Krakowie 20.X) oraz autobusem i pociągiem Baranowski i Sledziwski (w Krakowie 16.X). Kierownictwo grupy samochodowej obejmuje Sadaś. Samochód wyrusza 10.X i 12.X dociera do Bagdadu. 14.X rusza dalej, docierając do Hit, gdzie do 16.X czeka uczestników kwarantanna cholery. 20.X Amman, 22.X Jerozolima, 23.X Damaszek, 27.X następuje koło Ishenderm najeżanie stojącego samochodu przez motocykl, którego kierowca i pasażer giną na miejscu. Konieczna jest naprawa samochodu, który wyrusza dalej 1.XI. Na granicy tureckiej odłączają się L. i H. Agresti, a po wypadku — Bourgeois, Zawadzki i Rodziński, którzy przyjeżdżają do Krakowa 3.XI. Od Ammanu kierownictwo przejazdu sprawuje Wala. 3 XI Ankara (3-dniowy remont samochodu), 7 XI Sofia (2-dniowy remont), wreszcie 14 XI samochód przyjeżdża do Krakowa z pozostałymi uczestnikami wyprawy.

Podsumowanie i ocena

Jak stwierdziliśmy wyżej, w trakcie organizacji IV Polskiej Wyprawy w Hindukusz nie zostały popełnione zasadnicze uchybienia. Organizacja została rozpoczęta dostatecznie wcześnie, nie przeciono żadnego ważniej-

Zachodnia grzęda Noszaka (7492 m) po opadzie śniegu. Wrysowano drogę wejścia — z bazą wysuniętą i obozami. A — próg skalny o trudnościach III. Z lewej (linia kropkowana) fragment drogi zejściowej J. Bourgeois.

Fot. Marian Bała



szego jej ogniwa. Mimo to w trakcie organizacji trzeba było pokonać szereg ciężkich, a nawet krytycznych sytuacji, które z zewnątrz zagroziły realizacji całego przedsięwzięcia.

Otrzymane pozwolenie na działalność w dolinie Kazi Deh, wydane nam jako jedynej wyprawie w roku 1966, trzeba uznać za duży sukces naszych władz konsularnych, a także za wynik niezwykle przychylniej atmosfery po wizycie min. A. Rapackiego w Afganistanie. Z punktu widzenia interesów alpinizmu polskiego sukces ten był mniejszy, a to ze względu na stosunkowo dobre poznanie doliny Kazi Deh. Rejon ten jednak został przyjęty przez uczestników z entuzjazmem, dawał bowiem możliwość pobicia indywidualnych rekordów wysokości, a także szansę ustanowienia polskiego kobiecego rekordu w tej kategorii. Istnienie za Noszakiem dziewiczego wierzchołka 7291 m otwierało perspektywę ciekawej akcji eksploracyjnej.

W celu skrócenia okresu aklimatyzacji uczestnicy odbyli szereg wejść — najpierw w górach Paghman, a później w okolicy przełęczy Salang. Stworzyło to dobrą podstawę pod przyszłą działalność górską i miało zasadnicze znaczenie wobec konieczności skrócenia właściwej akcji górskiej do około 30 dni.

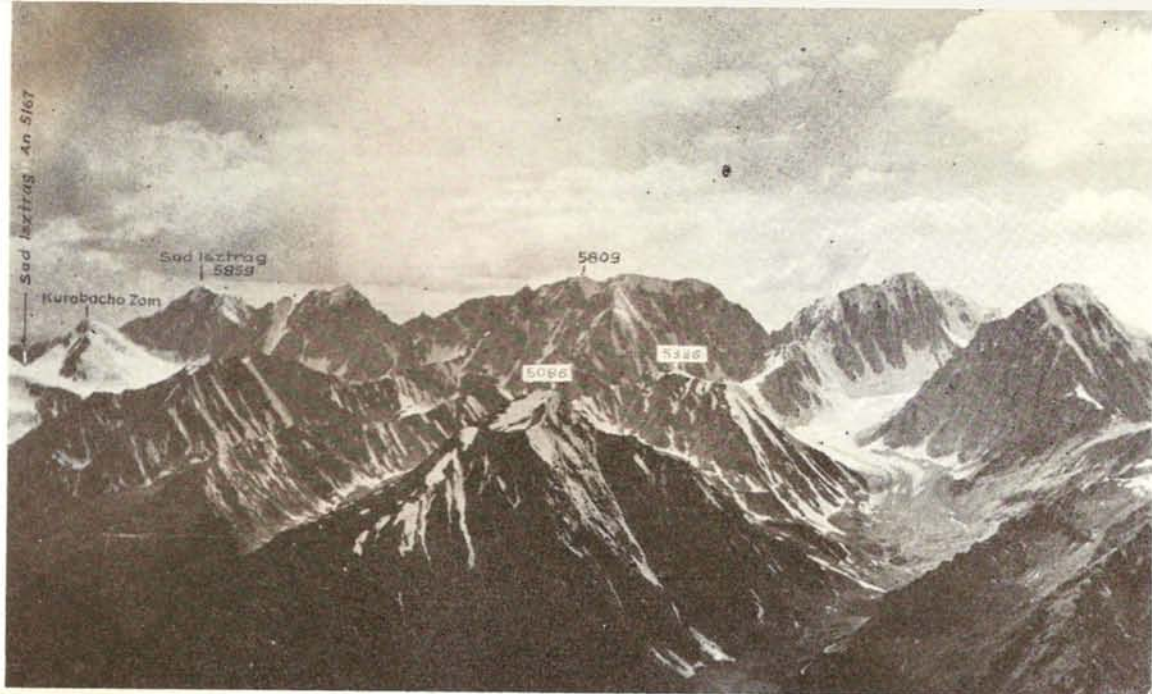
Dojazd z kraju do Afganistanu, a następnie w rejon działania nastąpił własnym środkiem lokomocji. Doświadczenia tu zdobyte mają, mimo popełnionych błędów, nieocznione znaczenie dla przyszłych wypraw tego rodzaju. Wystarczy wspomnieć negatywne doświadczenie I PWH z samochodem, jak też szarpnięcie nerwy oczekiwania na bagaż przez wyprawy II i III. Sprawę samochodu omawiam w oddzielnym artykule, tu chciałbym tylko dodać, że przejazd w ciężkich warunkach (pustynia, step) wpływa ujemnie na ogólną kondycję uczestników i na pewno wygoda podjazdu pod najwyższe partie Hindukuszu jest okupiona znacznie gorszą aklimatyzacją.

Grupa bez mała 20 alpinistów w stosunku do rejonu działania okazała się zbyt liczna, co w drugim okresie działania wyprawy spowodowało konieczność rozbudowania obozów na Noszaku i przestrzegania falowego sposobu atakowania szczytu. W tej sytuacji samowolnie podejmowane zmiany planów działania musiały sprawić poważne zamieszanie. Niechęć schodzenia do niższych obozów

i „odpoczywanie” w obozie III spowodowały, w wyniku zachorowań wysokościowych, zdekompletowanie zespołu przewidzianego do trawersowania Noszaka. W tej sytuacji decyzja wyjścia trójki bez oparcia o drugi silny zespół była ryzykowna. Sam wypadek Jerzego Potockiego zdarzył się jednak w wyniku załamania pogody i popełnione błędy nie miały na niego bezpośredniego wpływu. Na przebiegu zarówno akcji górskiej, jak i ratunkowej zaciążył poważnie brak nowoczesnych środków łączności.

Biorąc pod uwagę rejon działania, stosunkowo krótki okres pobytu w górach i zajęcie części czasu i sił akcją ratunkową, wyprawa osiągnęła stosunkowo dobre wyniki. W rejonie Paghman i Salang zdobyto przeszło 20 szczytów przekraczających 4000 m, z tego większość zapewne po raz pierwszy. Na wierzchołku Noszaka stanęło 8 osób, z których 7 wyrównało rekord Polski. Isabelle Agresti osiągając wysokość 7400 m weszła do nielicznej grupy kobiet, które przekroczyły warstwicę 7000 m! Należy żałować, że w wyniku zamieszania na Noszaku sukces ten nie przypadł którejś z Polek, które miały na zdobycie tego rekordu wszelkie dane. D. Baranowska osiągając na Asp-e Safed wysokość ok. 6400 m pobiła polski kobiecy rekord wysokości, co było jednym z celów wyprawy, E. Śledziwska osiągnęła na Przełęczy Południowej wysokość 5900 m. Tak więc pierwszy start kobiet w polskich wyprawach egzotycznych można uważać za w pełni udany. J. Bourgeois pobił na Noszaku o przeszło 1000 m dotychczasowy rekord wysokości swego kraju i był pierwszym Belgiem w górach Azji Centralnej. Na skutek wyboru rejonu działania, wyprawa mająca być w założeniu sportową, stała się eksploracyjną, zajmując się rozwiązywaniem ostatnich problemów otoczenia doliny Kazi Deh. Do wyjątku należy tu przejście przez Heinricha i Sadusia zachodniego lodowca Gumbaz-e Safed ścianą liczącą ok. 2500 m. W rezultacie z szczytów przekraczających 6000 m dziewicza pozostała obecnie grań od Rach-e Daros do Asp-e Safed oraz niezbyt interesująca trabant Noszaka pomiędzy jego zachodnią grzędą i lodowcem Kazi Deh. Pozostałe szczyty wznoszące się głównie nad dolną częścią doliny i w Wachan Gol przekraczają najwyżej 5000 m i nie mogą stanowić interesujących celów przyszłych wypraw.

Roman Śledziwski



Widok ze szczytu M10 na południowy zachód, na grupę Kuh-e Zebak.

Fot. Andrzej Mróz

Sad Isztrag

Maciej Kozłowski

Kiedy patrzeć z wierzchołka Noszaka na zachód, wśród ciągnącego się aż po horyzont morza szczytów dwa wyróżniają się szczególnie: daleki Koh-i Bandakor i bliższy — Sad Isztrag. Dlaczego właśnie Sad Isztrag, który ze swymi 5859 metrami jest jakby ubogim krewnym w licznej rodzinie sześć- i siedmiotysięczników Hindukuszu Wysokiego? Nie wykluczone, że kartografowie angielscy pomylili się kiedyś i wysokość tę trzeba będzie skorygować, być może również, że chodzi o zwykłe złudzenie optyczne, gdyż Sad Isztrag otoczony jest wierzchami niższymi od niego, a sam stanowi najwyższe wypiętrzenie gór Zebaku. Tak czy inaczej, nawet z wysokości Noszaka wygląda imponująco: wyniosły, smukły, o ostro zarysowanej sylwetce — bez wątpienia jeden z piękniejszych wierzchołków całego Hindukuszu.

Kiedy 15 sierpnia o 2 po południu wyruszyliśmy na kilkudniową eskapadę, której celem było zdobycie Sad Isztraga, nie wiedzieliśmy jeszcze, że jest to szczyt tak wspaniały. Nikt z uczestników wyprawy nie oglądał go dotąd na własne oczy, znaleźliśmy go jedynie z mało mówiących zdjęć zamieszczonych w „Taterniku” poświęconym I Polskiej Wyprawie. Co więcej, nawet umiejscowienie

szczytu na mapie nie było wcale pewne. W tak na ogół dobrze zbadanym zakątku Hindukuszu, jak rejon Kazi Deh, dolina Wachan Gol pozostała wciąż, maleńką co prawda, ale zawsze białą plamką na wszystkich wersjach mapy Jerzego Wali. Wyruszyliśmy więc tym chętniej. Komuż bowiem słowo „eksploracja” nie pobudza krwi do szybszego krążenia?

Było nas pięcioro, podzielonych w dwa zespoły. Nasza trójka — Jean Bourgeois, Jurek Potocki i ja — miała zadanie wyraźnie określone: I wejście na Sad Isztrag oraz wykonanie w jego okolicy maksymalnej ilości zdjęć i szkiców do celów kartograficznych. Drugi zespół — Isabelle i Henri Agresti — cel mieli ustalić dopiero na miejscu.

*

Dolina Wachan Gol, choć przez Europejczyków dotąd nie eksplorowana, stanowi od dawna znany szlak wędrowek. Tędy, przez przełęcz Sad Isztrag An (5126 m), szły karawany z Wachanu do Czitralu i odwrotnie. Stąd też i nazwa Wachan Gol, nadana tej dolinie na długo zanim Europa usłyszała o istnieniu walnej doliny Kazi Deh.

Lodowcem Kazi Deh dotarliśmy do wysokości 3580 m, skąd rozpoczęliśmy podejście

w górę nieznaną doliny. Tempo, mimo dużego obciążenia, było dobre, więc wieczorem osiągnęliśmy leżącą w połowie doliny łączkę z kamiennym schronem. Z biwaku wyruszyliśmy bardzo wcześnie, przed wschodem słońca. W południe, na plateau pod przełęczą pożegnaliśmy się z Francuzami, którzy postanowili zaatakować dwa pięciotysięczne ograniczające przełęcz Sad Isztrag. My mieliśmy podchodzić na przełęcz sąsiednią, dla której właściwa nazwa brzmi chyba Wachan An. Dotychczas nie widzieliśmy naszej góry i wciąż nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie się ona wznosi. Nastąpiło trudne podejście bardzo stromym lodowo-śnieżnym stokiem, pokrytym penitentami. Najbardziej strome partie lodu trzeba było omijać skałkami o trudnościach II — III. Silnie dawała się odczuć wysokość — 5000 metrów, a to przecież dopiero sam początek aklimatyzacji! Z każdym krokiem podnosiliśmy własne rekordy życiowe.

Na przełęczy urządziliśmy dłuższy postój. Wszystkim dokuczał ból głowy i wyraźne osłabienie.

Po raz pierwszy zobaczyliśmy nasz cel. Przewidywania Jurka Wali okazały się słuszne: mapa nie zgadzała się tu z terenem i przejście granią wprost z przełęczy nie było możliwe. Najpierw musieliśmy obniżyć się około 200 m do sąsiedniej doliny, a następnie śnieżnym żlebem wejść na właściwą już grań szczytu Sad Isztrag. Wydawało się, że nie napotkamy tu większych trudności technicznych, gdy jednak stanęliśmy na niewielkim siodełku, okazało się, że popełniliśmy omyłkę, i to dużą. Na północ grań opadała jednolitą tysiączmetrową ścianą lodu, nad któ-

rą wywieszały się ogromne nawisy. Trzeba więc było trawersować skałkami po stronie południowej. Tego w Hindukuszu nie spodziewaliśmy się: klasyczna wspinaczka skalna w pięknym czerwonym granicie. Trudności wprawdzie nie przekraczały „trójki”, no może z kilkoma miejscami IV, ale ciężkie plecaki i wysokość 5 i pół tysiąca metrów wciąż przypominały, że to jednak nie Tatry.

Biwak założyliśmy dość wcześnie, długo trwało przygotowanie miejsc do spania tak, by móc zająć pozycję względnie leżącą. Przestrzeni nie było tu wcale więcej, niż na przeciętnej tatrzańskiej grani. W czasie kolacji zaczął padać gęsty śnieg. Nad ranem byliśmy nim dokładnie przysypani, a co gorsza mokrzy, bo spaliśmy w płachtach igelitowych. Na szczęście około godziny 8 pokazało się słońce i mokre śpiwory wyschły błyskawicznie. Pogoda jednak nie ustaliła się definitywnie. Na wschodzie, od wysokości 6000 m, zalegała jednolita warstwa chmur. Na biwaku zostawiliśmy plecaki, zakładając, że za kilka godzin powinniśmy być z powrotem. Bez obciążenia szło się o wiele szybciej niż poprzedniego dnia, dużo rzadziej trzeba było używać liny.

W miejscu, gdzie ze skalnej grani wyrasta lodowa czapa wierzchołka, rozsiadliśmy się na dłuższy odpoczynek. Na wschodzie z morza mgieł wylał się wierzchołek jakiejś dalekiej góry. Był tak wysoko, że odruchowo zadarliśmy głowy: to Noszak, cel naszych zmagania na najbliższe kilka tygodni. Zdawali się sobie sprawę, że ta apokaliptyczna wysokość była złudzeniem spowodowanym morzem mgieł, ale gdy porównywaliśmy ją z naszym zmęczeniem, bólem głowy i osłabieniem, wyjście na Noszak wydawało się przekraczać możliwości zwykłego śmiertelnika. Widok tym bardziej fascynował: tak wyobrażałem sobie Górę Niepokonaną.

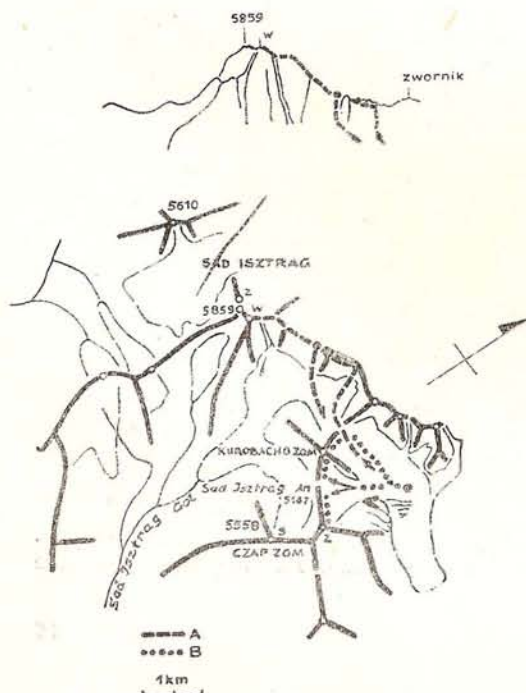
Wierzchołek szczytu Sad Isztrag — nasze jak do tej pory rekordowe 5859 metrów — osiągnęliśmy 17 VIII ok. godz. 13. Wiał zimny wiatr i padał śnieg, toteż zaraz po zrobieniu pamiątkowych zdjęć i po kilku minutach pobytu na górze zaczęliśmy schodzić. Do bazy wróciliśmy następnego dnia po południu. Sad Isztrag był siódmym z kolei szczytem pięciotysięcznym zdobytym przez naszą wyprawę.

*

Niebawem rozpoczęła się wielka operacja na Noszaku. Brałem udział w zakładaniu obozów, w transporcie ładunków. Moja praca stanowiła na pewno część tego, co zło-

Sad Isztrag (5853 m) — najwyższy szczyt w grupie Kuh-e Zebak. Wejścia: A — J. Bourgeois, M. Kozłowski i J. Potocki, (Z — wierzchołek zachodni, W — wschodni); B — I. i H. Agresti (Z — wierzchołek ok. 5400 m, Kurobacho Zom ok. 5400 m)

Opracowanie i rys.: Jerzy Wali



żyło się na ogólny sukces wyprawy. Byłem również z grupą szturmową na Noszaku. Dokonałem poważnego osiągnięcia sportowego, jakim jest kilkukilometrowy trawers na wysokości ponad 7000 metrów. Stałem się jednym z współwłaścicieli rekordu Polski, ustanowiłem rekord życiowy, jakim wielu nawet bardzo sławnych i wielkich alpinistów nie może się pochwalić. Jednak dla mnie prywatnie — nie jako uczestnika Wyprawy i

członka Klubu, lecz typowego przedstawiciela gatunku „alpinista-indywidualista” — sukcesem największym pozostanie zawsze Sad Isztrag. Pierwsze wejście na trudno dostępny szczyt w nie zbadanej partii gór — czyż nie jest to marzeniem każdego alpinisty?

Sad Isztrag stał się naszą własnością — Jeana, Jurka i moją. Napisałem na początku, że to bardzo piękny szczyt. A przecież posiadanie rzeczy pięknych daje wielką radość.

Ścianą Białej Kopuły

Lucjan Saduś

Andrzej nigdy nie miał szczęścia w losowaniu. To też pamiętnego 20 sierpnia nie musiał mi nawet pokazać pustej kartki — przegrana widać było z jego twarzy. Tak po prostu skończyły się marzenia o Noszaku i o zdobyciu jakiegos tam jeszcze, bardziej odległego siedmiotysięcznika. Przegrał swoją i moją szansę. Trudno, ktoś musiał odpisać. Zbyt wielu nas żyło nadziejami, które jeszcze w Krakowie nie dawały nam spać po nocach.

Kto zna Andrzeja Heinricha wie, jak wielki był to dla niego cios. Stać pod „wielką górą” i przyglądać się beczynnie, jak inni po niej depczą... Niczym chore zwierzę zaszły się między blok skalny a bębny wyprawowe i samotnie przeżywał swój ból. Robiłem co mogłem, żeby go rozruszać. Roztaczałem miraż wspaniałych ścian i nie zdobytych szczytów, przytaczałem nazwy i wiele mówiące liczby. Bez rezultatu. Andrzej stracił cały poprzedni zapał, wprost biła z niego niechęć do siebie i do całego otoczenia. Nawet słońce, któremu chętnie powierzał swe przydługie kości, nie mogło go wywabić z zimnego cienia.

Owe „ściany” i „szczyty”, to były oczywiście bzdury, którymi usiłowałem wypełnić narastającą pustkę, z czego obaj dobrze zdawali sobie sprawę. Otoczenie doliny Kazi Deh nie było zbyt ciekawe, poza samym masywem Noszaka góry nigdzie nie przekraczały magicznych siedmiu tysięcy, a i te sześciotysięczne były już na ogół zdobyte. Czekają nas więc wczasy prawie „rodzinne” na wysokości 4100 m.

Po południu pogodzeni z sobą i swoim nieszczęściem wędrowaliśmy poprzez garby moreny w kierunku jedynej na okolicę wody — małego jak studnia stawku, zagubio-

nego między stromymi hałdami usypisk. Przysiadłem na sporym głazie, by poprawić wlokące się za butami sznurowadła, po chwili obok przykucnął Andrzej. Na wprost nas stała ściana. Pyszna, piękna, wzywająca biała — gigantyczna wisząca rzeka lodu, wciśnięta między dwie postrzępione granie zbiegające się u szczytu... Długo kontemplowaliśmy labirynt szczelin i seraków, poprzedzielanych białymi spadami, noszącymi ślady starych i nowych lawin.

Ludzie darzą uczuciem ludzi, Andrzej także ściany. Oczywiście nie wszystkie, trzyma się bowiem reguły, że im stromsza, tym godniejsza uwagi. Potwierdzają to zresztą kolejne „miłości”: Kazalnica, Civetta, północne Tre Cime, zachodnia Petit Dru... Zerkałem ukradkiem, czy następną z rzędu będzie zachodnia Gumbaz-e Safed...

*

Po kilku godzinach dźwigaliśmy w górę w pośpiechu spakowane plecaki. Odprowadzał nas Dobek Walknowski z śpiworem wsuniętym do „horolezki”. Rozłożyliśmy się pod samą ścianą na pokrytym warstwą kamieni plateau lodowym. Dobek był wesoły, gwarzył, opowiadał cudowne bajdy rozśmieszające nas do łez. Pożywiłmy go z naszych zapasów, gdyż nie przyszło mu do głowy wziąć cokolwiek do jedzenia. Z nastaniem ciemności chwycił mróz i szybko wskoczyliśmy do śpiworów. Lodowiec pod nami żył, szemrała w nim woda, słychać było ciche trzaski. Gdzieś obok przebiegło glucho stęknienie. Dobka niepokoiły te dziwne odgłosy, podnosił się na łokciach, usiłując wzrokiem przebić ciemności. Gdy ułożył się z powrotem, straszliwy huk wprost pod nami po-

stawili go na równe nogi. Obaj z Andrzejem parsknęliśmy śmiechem, a on uspokojony naszą wesołością ułożył się ponownie, mrużąc coś o nastaniu zimy w górach i potrzebie powrotu do Polski.

Świtało, gdy wchodziliśmy w pierwsze trudności ściany, językiem lodu omijając z lewej strony pionowe zerwy. Warunki były doskonałe, rąbanie stopni zbyt ciężkie. Szliśmy szybko i dopiero po paruset metrach obejrzelśmy się za siebie: Dobek stał daleko w dole i kiwał nam ręką. Odpowiedzieliśmy mu tym samym przyjaznym gestem, krótko jednak, gdyż wnet pochłonęły nas własne kłopoty. Twardy lód ustąpił miejsca coraz to grubszej pokrywie śnieżnej. Trzeba było lawirować między serakami i szczelinami, kilka lodowych spiętrzeń musieliśmy przebyć wprost, z mozołem rąbiąc stopnie.

Na wielkim polu śnieżnym złapało nas słońce. Od razu zrobiło się gorąco, śnieg stał się przykry, a nasze 27-kilogramowe plecaki jakby nagle przybrały na wadze. Weszliśmy w partie ściany najbardziej skomplikowane orientacyjnie. Drogę zagroziły nam szerokie szczeliny. Dotychczas trzymaliśmy się kurczowo linii wyznaczającej środek ściany, okupując to często pokonywaniem zwiększonych trudności. Teraz nie było rady — musieliśmy szukać obejścia w lewo, trawersując między dwiema czarnymi czełusciami. Bajkowy świat lodu, szklących się sopli, oślepiających błysków i blasków. Znalazszy lichy mostek przekroczyliśmy mroczną głębię i wróciliśmy znów na środek ściany. Przed nami wyrosła nowa partia

zjezonych, postrzępionych seraków. Przeszliśmy je i z wielkich pól powyżej spostrzeegliśmy, że jesteśmy na wysokości przełęczy, ku której ze szczytu Gumbaz-e Safed opada łatwa grań. Przez jakiś czas kusila nas możliwość trawersu, wnet jednak przełęcz została niżej, a słońce schyliło się ku zachodowi. Zaczęliśmy się rozglądać za biwakiem, wszędzie jednak było stromo. Zmierzch zapadł niespodziewanie szybko. Wiedzeni ostatnią nadzieją przetrawersowaliśmy w prawo do majaczących w mroku seraków. Trafiliśmy właściwie: czekała tu na nas równo zasypana śniegiem szczelina, od ekspozycji odgradzona ogromnym serakiem. Ułożeni w śpiworach wypiliśmy menażkę herbaty, potem kompot, potem jeszcze mleko — pragnienia z całego dnia nie można ugasić w jednej chwili. Andrzej już spał, kiedy zabrałem się do gotowania rosółu przyprawionego całą puszką eksportowej cieleciny z koperkiem. W menażce zabulgotało, wkoło rozszedł się smakowity zapach. Zbudziłem Andrzeja, zasnął jednak ponownie — z łyżką utkwioną w gorącej zupie. Wyglądnieliśmy, pochłonąłem całą zawartość menażki i sam zapadłem w sen.

Moje łakomstwo zostało ukarane: zbudziłem się w nocy z silnym bólem żołądka. Oczekiwałem brzasku zdając sobie sprawę, że czuję się coraz gorzej. Ale wokół była czerń nocy i nieustanny szelest śniegu zwiwanego wiatrem z wiszącej nad nami lodowej krawędzi. Co było potem nie pamiętam, trapiła mnie widocznie gorączka. Oprzytomniałem, gdy było już jasno: nade mną przerażony Andrzej, moje bezowocne usiłowania, by stanąć na nogi... Potem znowu ciemność i ponowne ocknięcie, gdy słońce zaczęło mnie razić w oczy. Powoli przyszedłem do siebie, ale było już dobrze po południu, gdy ruszyliśmy dalej.

Wydawało mi się, że ściana staje się coraz stromsza. W miejscach, gdzie spod śniegu wystawały niebieskie pasma lodu, idący przodem Andrzej rąbał wygodne stopnie. Ból pod żebrami dokuczał mi coraz bardziej. Toteż z ulgą przywitałem zapadnięcie zmroku. Andrzej po ciemku dłuższy czas szukał odpowiedniego miejsca na biwak, znalazł wreszcie niewielkie wklęsnięcie — ani wygodne, ani bezpieczne. Całą uwagę skupiliśmy na tym, by nie stracić po stwardniałym śniegu czegoś z rzeczy. Dokoła nas rozpościerała się niewiarygodna wieczorna panorama wielkich gór, jednakże ciągły ból i dokuczliwe zimno kazały mi myśleć o czym

Gumbaz-e Safed (ok. 6800 m) od zachodu, z okolicy bazy głównej. Droga A. Heinricha i L. Sadusia. Oznaczono biwaki.

Fot. Marian Bata



innym. Andrzej opiekował się mną jak niańka, pomimo jego namów nie zdołałem jednak niczego przełknąć. Zdawałem sobie sprawę, że zatrucie fatalną konserwą na tej wysokości może mieć ciężkie skutki, ale jedyną drogą dla nas wiodła przez szczyt, na szczęście już bardzo niedaleki.

Stanęliśmy na nim wcześniej rano. Szeroka śnieżna kopa, naprzeciw przytłaczający ogromem masyw Noszaka z doskonale widoczną linią projektowanego trawersu. Horyzont cały rozfalowany górami, których ani nie umieliśmy nazwać, ani policzyć. Było pogodnie, wiał jednak mroźny przenikliwy wiatr, który znad Noszaka przesuwiał strzępy chmur. Zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia we wszystkie strony świata, przypatryliśmy się Ramieniu, czy nie stoi na nim III obóz i ruszyliśmy w dół granią, którą w roku 1963 zdobyli Gumbaz-e Safed Austriacy.

Gumbaz-e Safed (6800 m) — I przejście północno-zachodniej ściany, II wejście na wierzchołek.

Wyjście z bazy głównej 20 VIII 1966. Wierzchołek osiągnięto 23 VIII w godzinach rannych, tego samego dnia wieczorem zespół zszedł do bazy wysuniętej. W ścianie trudności wyłącznie śnieżno-lodowe, nachylenie stołu przeciętnie 40—45°, maksymalne ok. 50°. Różnica wzniesień od podstawy do wierzchołka ok. 2500 m. Droga charakterem zbliżona do alpejskiej północno-zachodniej ściany Aiguille de Bionnassay. Warunki krańcowo różne, w zależności od miejsca i pory dnia — od rozmiętego śniegu do twardego lodu. Największe nagromadzenie trudności w środkowej partii ściany, niezbyt stromej, lecz pociętej szczelinami. Drogę poprowadzono środkiem, jednak główne trudności można ominąć trawersem na siodło w grani opadającej ze szczytu. Pogoda podczas wspinaczki była dobra, z małymi opadami śniegu i silnym wiatrem. Temperatura nocą do ok. —30°.

Sprzęt: śpiwory, spodnie puchowe, 1 kurka puchowa, płachta biwakowa, maszynka butanowa i 6 zapasów, raki, czekany, młotki lodowe, 10 haków lodowych i skalnych, linajazdowa 80 m, pasy asekuracyjne, buty wysokościowe.

Mój Hindukusz

Danuta Topczewska-Baranowska

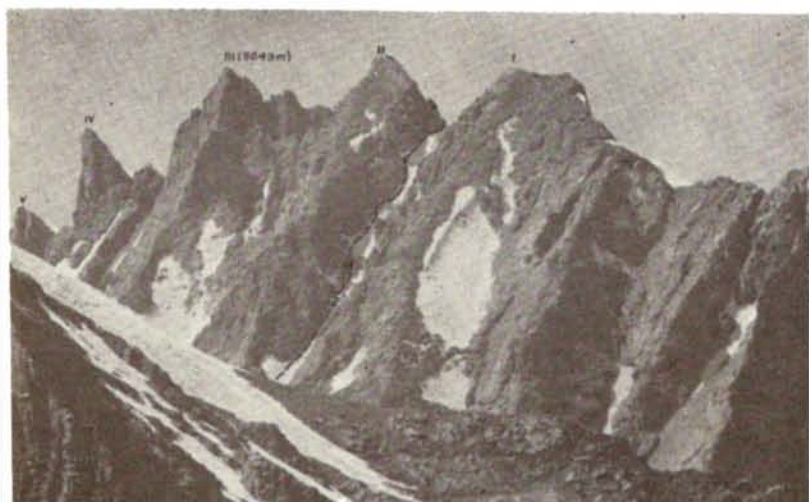
W Kabulu czuję się tak, jakbym weszła w ożywiony i jeszcze bardziej kolorowy świat z przezroczy, które nam pokazywali uczestnicy poprzednich wypraw. Długo przecieram oczy i nie mogę uwierzyć, że to wszystko prawda, że z moim udziałem, że jednak zobaczę prawdziwe Wysokie Góry, a może nawet uda mi się na którąś wejść!

W Paghmanie poprawiam swój śmieszny rekord wysokości z Alp Ötztalskich. Czuję się świetnie, wiem jednak że to jeszcze nie jest sprawdzenie moich możliwości. Następuje ono po szeregu dni wypełnionych atrakcyjnym przejazdem, organizowaniem karawany i pracowitym zakładaniem bazy głównej.

„QY 7” — za takim niepozornym kryptonimem kryje się szczyt, który chcemy zdobyć jako pierwszy. Sam też jest niepozorny: nie ma koty, nie ma nazwy, swoim wielkim sąsiadom sięga ledwie do pasa. Wznosi się w pobliżu obozu, po przeciwnej stronie doliny. Wyruszamy ku niemu w czwórce: z Ewą, Maćkiem i Adamem Pąchalskim — z bocznej doliny, wciśniętej między niego, a Chorpuszt-e Jachi. Nie wiadomo jak wygląda górna część tej doliny. Nikt przed nami tam nie był i właśnie to daje mi najwięcej zadowolenia. I jeszcze jedno: że przecież wychodzimy, chociaż w nocy padał śnieg, choć jesteśmy przemarnięci, przemo-

zeni i wszystko przemawia za tym, by wrócić do bazy. Opuszczamy wysoko założony biwak i po kilku godzinach urozmaiconych pokonywaniem żlebów, trawersów i wybitnej grzędy skalnej, stajemy, a ściślej mówiąc, siadamy na jednym z trzech bardzo spiczastych wierzchołków naszego szczytu. Nadajemy mu nazwę Kuh-e Kuczka, co znaczy „Mały Szczyt”. Nawet dla ucha polskiego brzmi to zdrobniale, kiedy jednak obliczamy wysokość, wychodzi nam 5240 metrów, czyli więcej niż Mont Blanc i niż kaukaska Szchara! Dokoła morze skalnych i lodowych kolosów, daleko w dole miejsce, gdzie jest baza. Leżąc na brzuchach, wychylamy się nad piękne lodowe plateau. Ale najbardziej fascynujący jest Noszak: zastania nam wszystkie inne szczyty siedmiotyśczne, jest przepiękny z naszego malucha. Ktoś mówi: „To taka wielka, wielka Babcia Góra”. A Noszak dymi, połogi odcinek nad Ramieniem wydaje się nieskończenie długi i ogromnie wysoki...

Kiedy jesteśmy z powrotem w dolinie, znowu pojawiają się chmury, zaczyna padać. Wracamy bardzo zadowoleni. Tak jak w Tatrach ma się czasem ulubione, nietrudne drogi, chociaż robiło się wiele piękniejszych, tak ja mam swego „Kuczka” w dalekiej dolinie Kazi Deh, której już na pewno nigdy więcej nie zobacze.



Rach-e Kuczek (5243 m). Wrysowano górny fragment drogi ze społu D. i M. Baranowscy, A. Pąchalski i E. Siedziowska.

Fot. Janusz Wojtusiak

Potem były dni zakładania obozów na Noszaku. Wchodzenie, schodzenie i noszenie, noszenie... Podczas instalowania obozu II przeżywam drugi etap swoich prywatnych satysfakcji. Wprawdzie plecak ważyący nie więcej niż 10 do 12 kilo bardzo mi ciąży, ale nie czuję się ani trochę gorzej od chłopców, których plany sięgają przecież znacznie dalej od moich. I chociaż wracamy podczas zadymki, nie tracę dobrego humoru, a w liście do Rodziców piszę, że na imienniny Taty ofiaruję mu moje wejście na Noszak. Okazja wysłania listu zawiodła, a ja rezygnuję z Noszaka. Plan wchodzenia uległ przesunięciom i w określonym dniu nie mogłam wyruszyć. Czekać? Nie. Ja chcę iść już. Zaczynają powracać wątpliwości: czy dam radę, to przecież bardzo wysoko, pogoda nie wiadomo na jak długo...? W trakcie dyskusji Lucek Saduś proponuje mi wejście na grań prowadzącą do Asp-e Safed wprost stromym polem lodowym. Czuję się zaszczycona propozycją, ale nie. Boję się regularnej wspinaczki na wysokości 6000 metrów. W rezultacie Lucek z Marianem Bałą startują na Noszak, a Jurek Wała w oczekiwaniu na swoją kolej odprowadza nas w kierunku Asp-e Safed.

Idziemy we troje: Ewa, Romek i ja. Liczę kroki: 100, 150, potem trzeba stanąć, choćby na małą chwilkę. Śnieg staje się gorszy, patrzymy na wiszące bariery seraków na stokach Białego Konia. W roku 1960 obryw stąd zmiotł obóz I Polskiej Wyprawy. Szerokie siodło Przełęczy Południowej osiągamy w samo południe. 5900 m n.p.m. Moc szczytów, wśród których króluje piękny Tiricz Mir. Nad tym wszystkim stawowy, nieruchomy wał chmur.

Dalej pójdziemy we dwojkę, Ewa nie czuje się najlepiej — zaczeka na ratas na Przełęczy. Ruszamy. Czerwone swetry, czerwona lina, biały kask, niebieskie niebo. I Biały Koń z nieco poczerznią grzywą grani... Po przejściu z lotną asekuracją dwustu a może trzystu metrów musimy zbliżyć się do grani, gdzie zaczynamy się zapadać w świeżym, przewianym śniegu. Rozpoczynamy regularną asekurację wykorzystując skalne występy. Śnieg jest bardzo zły; czy w tych warunkach zdołamy dotrzeć do nie zdobytego wierzchołka po stronie pakistańskiej? Nadzieją na tę zdobycz żyłam od momentu, w którym zrezygnowałam z wejścia na Noszak. Jest ciężko. Przypomina mi się zdjęcie z roku 1960 — nasi koledzy w drodze na Asp-e Safed: raki zagłębione na cał, w dłoniach zwoje liny...*. Próbuję iść polem śnieżnym, oznacza to jednak „wiosłowanie” rękami i nogami, a nie wspinaczkę po śniegu. Nie ma mowy o założeniu uczciwego stanowiska z czekana. Wracam więc do grani, której jakby na pocieszenie coraz mniej przed nami. Ewa już dawno przeobraziła się w ledwo dostrzegalny punkcik, niedaleko nas pola podczytowe. Czuję się doskonale, walczę ze śniegiem, dziwiąc się sama sobie, skąd w mnie jeszcze tyle energii? Dochodzę wreszcie do ostatniej kulminacji przed wierzchołkiem. Jeszcze luję się, że pójdziemy na ten drugi wierzchołek, bo pole prowadzące na szczyt wygląda łatwo i śnieg też wydaje się być nareszcie dobry. W prawo łagodnie opada grań w kierunku

* I wejście na szczyt, 4 IX 1960 r. — S. Kuliński, J. Mostowski, Z. Rubinowski i S. Sprudin („Taternik” 2-4/1962, s. 126).

Rach-e Daros, nieco w lewo śnieżny szczyt... Ale oto znowu wystają ze śniegu zaledwie do połowy, bezskutecznie usiłując wbić czekan.

„Danko — mówi Roman — nie ma sensu iść dalej! Jesteśmy prawie na szczycie, nie ryzykujemy. Robi się późno!” Spróbuję jeszcze raz. Zacinam zęby, ruszam. Kilka metrów znoonej pracy i ze łzami w oczach przyznaję Romkowi rację. Wyjątkowa złośliwość losu, bo należę do ludzi przywiązujących wagę do samego wejścia na najwyższy czubek góry. Coś się we mnie zaczyna rozklejać... Na pierwszych metrach zejścia obusuwam się brzydko, nagły ucisk liny i spokojny głos Romka: „Wszystko w porządku?” Tak, to na pewno rozsądne, że nie pchaliśmy się przez ten ostatni odcinek, wprost nad zięjącymi lodowymi studniami. A jednak żal, potwornie żal! Pakistański wierzchołek był w tych warunkach nierealny, ale tych kilka chwil na szczycie! dwa, najwyższej trzy wyciągi... Szkoda.

Obsuwający się pod nogami śnieg znakomicie ułatwia schodzenie. Teraz dopiero zaczynam odczuwać głód. Jest mi chłodno, przemarzły nogi... Jak nieporównanie szybko tracimy wysokość! Cały czas aseku-

jemy się starannie, wykorzystując grań. Ewa przybiera ludzkie kształty, zaczynam odróżniać kolory jej ubrania — jesteśmy już na polach nad przełęczą. Nie do wiary! Idziemy całkiem po wierzchu. Ej, gdyby tak było cały czas! Miałabym z pewnością swój pakistański wierzchołek Białego Konia. Wspaniały zachód słońca na zboczach pod przełęczą, potem nasza żółta chatka, a z nią ciepłe puchowe butki i gorąca herbata.

Za dwa dni Ewa z Romkiem idą na Chorpuszt-e Jachi, my z Maćkiem płaczymy się po pięknym Lodowcu Polaków i wchodzimy z niego łatwo na szczyt Q 23 (5000 m). Snujemy dalsze plany. Pójdziemy na któryś z trzech dotąd nie zdobytych prawie sześciotysięcznych szczytów w rejonie Wachan Gol. Chcemy wykorzystać szansę na największą z największych przyjemności znalezienia się w okolicy, gdzie nie było dotąd nikogo.

*

Nigdzie już nie pójdziemy. Załamanie pogody, niekończące się godziny oczekiwania na wieści z Noszaka i coś, co mogło nas spotkać najgorsze — tragiczny wypadek. Ciężkie ostatnie dni pechowej Wyprawy.

Akcja „Noszak”

ANDRZEJ MRÓZ

Dlaczego zdobywaliśmy Noszak, skoro w Hindukuszu jest jeszcze wiele szczytów, niższych wprawdzie, ale za to dziewiczych? Skoro są ciekawsze problemy sportowe? — Takie pytanie zada każdy alpinista, który wie, że Noszak był już zdobyty, m. in. przez Polaków. Z podobnym pytaniem spotkałem się ze strony laika, co tylko z książek poznał wybrane motywy górskiej ideologii. I jego dziwił fakt angażowania wielkiej wyprawy w pokonywanie szczytu, zdobytego dotąd trzykrotnie — w sumie przez tłum ludzi — podczas gdy obok czekały na rozwiązanie pierwszorzędne problemy. My również myśleliśmy o innych szczytach, kiedy wyprawa była przygotowywana w Krakowie. W Kabulu natomiast zorientowaliśmy się, że otrzymanie pozwolenia na dolinę Kazi Deh zawdzięczamy chyba znowie duchów opiekuńczych z ambasadorem PRL, panem Janem Petrussem, i że żądania idące dalej na

wschód, swoją bezczelnością mogłyby spowodować nieodwracalne skutki.

Każda wyprawa ruszająca w wysokie góry powinna mieć dokładny plan działania. Nasz plan podkreślał na samym wstępie sportowy charakter przedsięwzięcia, w dalszym zaś ciągu oferował sześć różnych możliwości. Noszak zajmował wśród nich trzecią z kolei pozycję. Po ostatecznych perypetiach w Kabulu musiał zostać celem numer jeden. Wariant ten proponował nie tylko zwykłe osiągnięcie szczytu Noszaka, ale także nowe pierwsze wejścia. Szczegóły były następujące:

1. założenie trzech obozów pośrednich na Ramieniu Noszaka;
2. przetrawersowanie pół śnieżno-lodowych na wysokości ok. 6600 m po północnej stronie masywu;
3. z przełęczy 6800 m na wschód od Noszaka I wejście na niezdobyty (jak sądziliśmy) szczyt 7291 m oraz II wejście na Darban Zom (7219 m);

4. powrót z trawersowaniem czterech wierzchołków Noszaka, poczynając od wschodu.

Jak z tego widać, planowi nie brakowało ambicji sportowych. Wielkie nadzieje osobiste pokładaliśmy w ambitnej postawie na chwilę przed rozpoczęciem akcji „Noszak”.

Z nieoficjalnych rozmów namiotowych wynikało, że z wyjątkiem kobiet, kierowcy, kierownika, lekarza i biologa, pozostali chętnie poszliby na zdobywanie szczytów za Noszakiem.

Dnia 20. VIII nastąpiło pełne zdenerwowanie zebranie w bazie. Plan operacyjny Jurka Wali przewidywał do trawersowania Noszaka i wejścia na oba dalsze siedmiotysięczniki zespół złożony z 8 osób. Tymczasem amatorów było co najmniej dziesięciu. Dwie osoby musiały chęć nie chęć zrezygnować. W dramatycznym losowaniu par fatalny numer wyciągnął Heinrich. W Sadusiu weszła złość i tego samego dnia dwaj odepchnięci przez los wyruszyli pod Gumbaz-e Safed.

Tymczasem Jacek Poręba chorował na żółdki, a Rysiek Zawadzki czekał na wy-

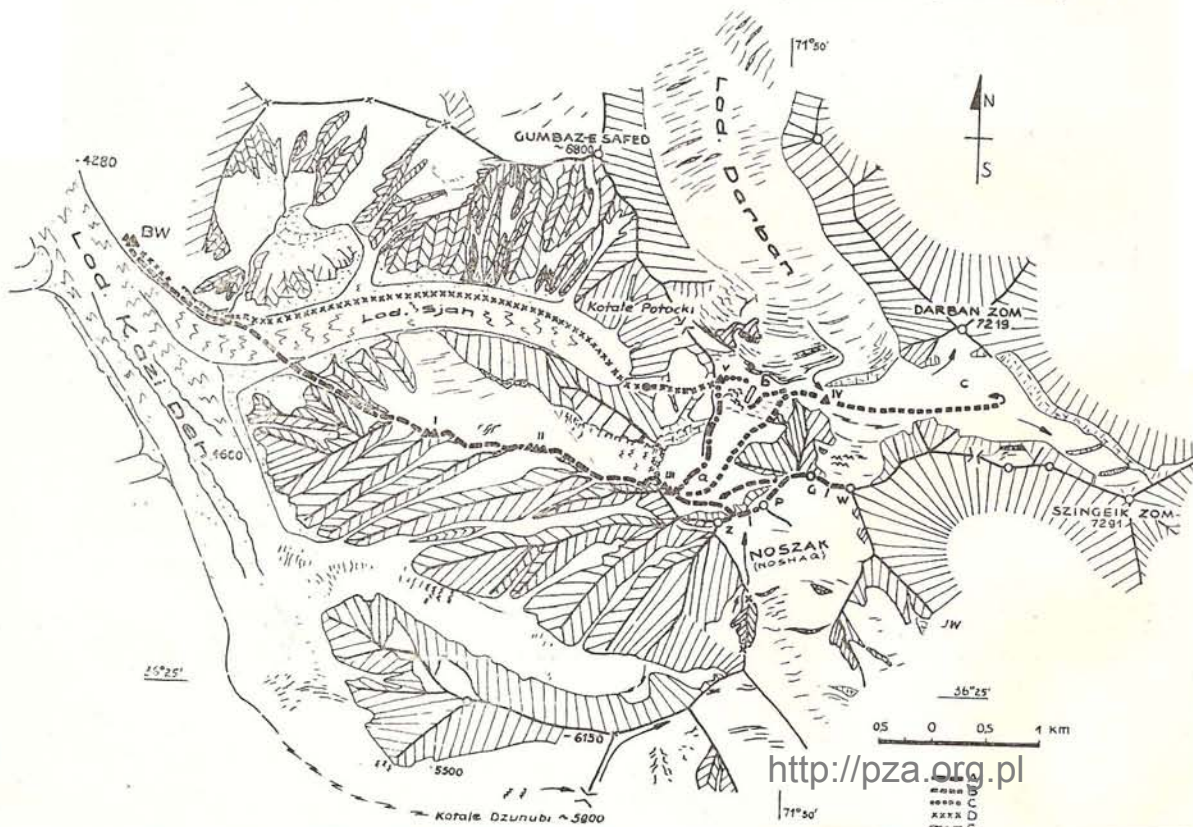
zdrowienie partnera. Henri Agresti rozpoczął przewartościowywanie szans swoich i oddzielnie — żony Isabelle, obliczając najlepszy możliwy wynik małżeństwa. Marian Bała musiał czekać na wynik tych obliczeń ewentualnego partnera. Do założenia obozu I pozostało więc nas czterech: Maciek Kozłowski, Jurek Potocki, Jean Bourgeois i ja.

Po południu podeszliśmy do bazy wysuniętej; 2 godziny marszu, wysokość 4450 m. Po prawej stronie lodowca (orograficznie!) stał tu jeden duży namiot „Vico” i jeden mały „Legionowo”. 21. VIII rozpoczęliśmy podejście z ciężkimi plecakami. Była godzina 10. Do stóp grzędy Noszaka trzeba było iść półtorej godziny klucząc między rozpadlinami w lodowcu, cały czas w grząskim piargu. Wchodząc na grzędę Noszaka mieliśmy do wyboru trzy wielkie żłeby wypełnione na biało. Wybraliśmy żleb środkowy.

Mniej więcej 300 metrów szliśmy w górę między penitentami; potem twardość podłoża ustąpiła, penitenty zniknęły, po łuskowatych

Masyw Noszaka. A. Po założeniu bazy wysuniętej i obozów I (5500 m), II (6150 m) i III (6800 m), 6-osobowa grupa wchodzi 30 VIII 1966 na wierzchołki: pośredni (P, ok. 7400 m), główny (G, 7492 m) i wschodni (W, ok. 7480 m), nadto sam Heinrich dokonuje II wejścia na wierzchołek zachodni (Z, ok. 7350 m). 31 VIII na główny wierzchołek wchodzi B. Bała i L. Saduś, a 1 IX na wierzchołki zachodni i pośredni i. i H. Agresti. Następnie Bourgeois, Heinrich i Potocki wyruszają drogą B. pod przewidziane planem szczytu 7219 i 7291 m. Po biwaku (obóz IV) osiągają siodło pod Darban Zom (c) i wracają do namiotu (IV), gdzie zostają zaskoczeni niepogodą. 4 IX na wycofującą się trójkę spadają lawiny (prostokąt), w których ginie Potocki. Pozostała dwójka biwakuje na grani (V), skąd Bourgeois schodzi 6 i 7 IX wprost ścianą (droga D), a Heinrich 8 IX udaje się do obozu III drogą E. Strzałki wskazują kierunki wejść Japończyków i Polaków w r. 1960 oraz Austriaków w 1965 i Niemców w 1967 r. „Tarasy Potockiego”: a — taras zachodni, b — taras północny.

Opracowanie i rysunek: Jerzy Wala



30 VIII 1966 na wierzchołku Noszaka (7492 m). Od lewej: M. Kozłowski, A. Heinrich, J. Potocki, J. Poreba i J. Bourgeois.

Fot. Andrzej Mróz



stopniach zbliżaliśmy się do wyraźnego spiętrzenia w żlebie. Z dołu uznaliśmy ową stromiznę za nawiany śnieg. Niestety, dalsza droga stawała się coraz stromsza, a lód — zgodziliśmy się, że idziemy po lodzie — stawał się coraz gładzy. Następnie rąbaliśmy stopnie, odczuliśmy wreszcie moment, kiedy zaczęło się ryzyko. Po trawersie w gładkim lodzie osiągnęliśmy prawie ograniczenie żlebu. Kozłowski i Potocki, którzy wyszli nieco później, po fachowej ocenie, co się z nami dzieje, o wiele niżej skręcili w prawo. Wszystkie późniejsze przejścia między podstawą grzędy a obozem I wiodły żlebem prawym.

Pierwszy odpoczynek wypadł nam po wyjściu ponad żleby. W czasie obiadu doszli do nas Henri i Isabelle, którzy postanowili byli nie rozstawać się nawet za cenę obniżenia możliwości wyczynowych Henriego. Na długo przed zmrokiem doszliśmy do upatrzonej turni. W miejscu obozu austriackiego — ślady były niezbite, acz dyskretne — na wysokości 5600 m, rozstawiliśmy dwa namioty.

Następnego dnia (22. VIII) podeszliśmy do miejsca przypuszczalnego obozu II Austriaków. Na wysokości 6400 m odgrzebaliśmy łopatą i trzy puszki pasty owocowej. Złożyliśmy przyniesione rzeczy, pastę, ze względu na niedostateczne zaopatrzenie naszej wyprawy, zjedli Bourgeois i Potocki. Rekonasans był skończony. Wracając, w obozie I zastaliśmy kolegów: Zawadzki, Poreba i Danką Baranowska mieli następnego dnia założyć do końca obóz II. Za chwilę doszedł

Marian Bała z Jurkiem Wałą. Nasz kierownik techniczny nie był zadowolony z obozu. Miejsce osądził jako stanowczo za wysokie, zwłaszcza gdy w wyprawie uczestniczą kobiety. Obecność Danki i jej forma bez zarzutu wydawały się podważać argument kierownika. Może zresztą myślał o czym innym.

Następnego dnia (23 VIII) Rysiek, Jacek i Danką założyli obóz II, szkoda, że nie na miejscu obozu austriackiego, lecz o 200 m niżej, na wysokości 6200 m. Potem trwał transport ładunków według skrupulatnie przez Wałę ułożonego harmonogramu. Do ekipy dołączył Andrzej Heinrich, który szybko uporał się z wypoczynkiem po trudach sukcesu na Gumabaz-e Safed, by zająć miejsce opróżnione przez Henriego.

Dzień 27 sierpnia rozpoczęliśmy od paradoksu — wyszliśmy z obozu II za wcześnie. Ramię Noszaka było jeszcze w cieniu, a mróz 20-stopniowy. Po stu metrach podejścia rozcieraliśmy stopy w oczekiwaniu na słońce. Część drogi do obozu III wiodła po świeżym śniegu, leżącym na potężnych i stromo poukładanych blokach; zapadaliliśmy się bardzo nieregularnie, czasami powyżej piersi. Między 6600 a 6800 m pokonaliśmy uskok skalny z momentami wspinaczki III lub nawet (przy trawersie wyjściowym) IV stopnia. O godz. 17 założyliśmy w pięknym miejscu obóz III i o 18.30, bardzo zmęczeni, wróciliśmy do obozu II.

29 VIII — po dniu wypoczynku — Kozłowski, Bała, Potocki, Bourgeois i ja znowu znaleźliśmy się w obozie III. Dwaj pierwsi zo-

stawili co trzeba i wrócili do obozu II. Rysiek Zawadzki, mianowany kierownikiem naszego zespołu, po zebraniu wypowiedzi od wszystkich kolegów zmienił plan. Działamy za szybko, nie mamy należytej aklimatyzacji; najpierw zdobędziemy Noszak zwykłą drogą, potem pomyślimy o trawersowaniu.

30. VIII — każdy w rytm własnej ochoty — wchodziliśmy szerokimi polami śnieżnymi w kierunku grani szczytowej Noszaka. Rysiek czuł się nie najlepiej, powrócił więc do obozu II. Po południu pięciu Polaków, szósty Belg, spotkało się na głównym wierzchołku drugiego masywu Hindukuszu: Bourgeois, Heinrich, Kozłowski, Mróz, Poreba, Potocki. Było to IV wejście — 7492 metry, rekord Polski, rekord życia; na wschodzie domyślaliśmy się Himalajów, na północy Szachaur, o którym stale nie zapominaliśmy, z wschodniego wierzchołka świetnie można było poglądać niezdobyty (wciąż tak myśleliśmy!) szczyt 7291 m, następczący — jak w owym momencie nam się wydawało — największej trudności z wyborem nazwy. Pogoda była piękna, bezwietrzna, więc spędziliśmy na szczycie kilka godzin. Wreszcie Jurek Potocki włożył do małego plastikowego zajączka kartkę z naszymi nazwiskami i zaczęliśmy schodzić całą szóstką. Po pomarańczowym śniegu w ostatnich promieniach zachodzącego słońca osiągnęliśmy z powrotem obóz III.

*

Wejście na Noszak, prawie 7500 m, w dziesiątym dniu akcji górskiej, a dla niektórych był to dzień szósty, zmęczone nas podobnie, jak założenie obozu III. Cały dzień następnego leżeliśmy w namiotach postawionych we wspaniałym miejscu. Saduś i Bała byli tego dnia na szczycie (V wejście). Wieczorem schodzili do obozu II. Przyłączyli się do nich Poreba. Dobrze się czuł, trapiło go jednak przekonanie, że akcja na tak dużych wysokościach nie jest jego największą pasją i że

o wiele milej poczuje się trochę niżej. Wszystkich zdziwiło postępowanie Jacka. Mnie zdziwienie przeszło następnego dnia rano. Mimo odwrotnych chęci, czułem się też odwrotnie. Musiałem zejść na dół, im szybciej się to odbywało, tym większą mi sprawiało przyjemność. Schodziłem razem z Maćkiem Kozłowskim. W obozie spotkaliśmy Wałę, Rodzińskiego i Wojtusiaka. Szli na Noszak. Nie doszli.

Tego samego dnia, gdy my możliwie szybko schodziliśmy do obozu II, Henri i Isabelle Agresti weszli na przedwierzchołek Noszaka (7400 m), zaś Bourgeois, Heinrich i Potocki rozpoczęli trawersowanie północnych stoków masywu. Dziesięć dni temu dziesięć osób w potwornym napięciu nerwowym losowało prawo udziału w przedsięwzięciu, w którym teraz powoli rozpoczynały działanie trzy osoby, tworzące zespół co najmniej o jednego alpinistę za mały. Czas płynie w górach szybko, szybko zmienia chęci i możliwości.

Nota historyczna

I wejścia na Noszak dokonała Japońska Wyprawa w Pamir 1960 — z doliny Kazi Deh przez Przełęcz Południową. Baza 3080 m, baza wysunięta 3800 m, obozy 4500 m, 5300 m i 6300 m (według „Taternika” 2-4/1962 s. 73-74, sprawozdanie kierownika w „The American Alpine Journal” 1961, s. 277-278, podaje inne wysokości). Szczyt zdobyli 17. VIII. 1960 G. Iwatsubo i T. Sakai. II wejścia dokonała I Polska Wyprawa w Hindukusz, tą samą drogą (baza 4100 m, obozy 4500, 5500, 6150 i 6900 m). Szczyt 27. VIII. 1960 — K. Berbek, S. Biel, J. Krajski, S. Kuliński, J. Mostowski, Z. Rubinowski i S. Zierhoffer. (Lit. „Taternik” 2-4/1962 s. 89-91 i 105-108). III wejście należy do połączonych wypraw Oberösterreichische Hindukusch-Kundfahrt 1963 i Steirische Hindukusch-Expedition 1963 — nową drogą wprost zachodnią grzędą (baza wysunięta 4600 m, obozy 5500, 6400 i 6900 m). 21. VIII. 1963 zdobyli wierzchołki zachodni i główny G. Gruber, M. Hofpointner, S. Jungmaier, R. Pischinger, M. Schober i G. Werner; nadto Gruber i Pischinger weszli na wierzchołek wschodni. (Lit. „Alpinismus” 12/1964 s. 34). Darban Zom (7219 m) zdobyli 12. IX. 1965 i nazwały połączone wyprawy Hindukusch-Bergfahrt 1965 der HG Salzburg i Meraner Hindukusch-Expedition. Atak przeprowadzono od strony pakistańskiej z bazy 4600 m na lodowcu Darban (obozy 5270, 6040 i 6400 m); na szczycie stanęli U. Kössler i M. Schmuck („Taternik” 1-2 1966 r. s. 52). Wierzchołek 7291 m zdobyła i nazwała (Szingeik Zom — „Dymiąca Góra”) Bayerische Chitral-Kundfahrt 1966. Weszła na niego 13. VII. 1966 dwójka I. Trübswetter (żona kierownika wyprawy) i K. Holch.

Wejście IV PWH na Noszak było więc 4 z kolei (licząc indywidualnie — 4 i 5). Na głównym wierzchołku stanęły łącznie 23 osoby — 2 Japończyków, 6 Austriaków, 1 Belg i 14 Polaków. Pięć z tych osób już zginęło w górach.

J. Nyka

Dolina Wachan Gol. Po prawej Kurobacho Zom, po lewej — Czap Zom, pomiędzy oboma szczytami przełęcz Sad Isztrag An (5167 m). Zaznaczone drogi wejściowe dwójki H. i I. Agresti

Fot. Janusz Wojtusiak



Francuzka na Noszaku

Do Wyprawy dołączyłam się 6 sierpnia w Kabulu. W góry przybyłam bardziej po to, aby przeżyć cudowną przygodę, niż by dokonać przejścia w himalajskiej skali. Chciałam tylko dojść do bazy i pokusić się o przekroczenie granicy 5000 m, którą uznawałam za i tak zbyt wysoką jak na moje możliwości.

14 sierpnia, po 5 dniach jazdy ciężarówką i 3 dniach marszu, osiągnęliśmy miejsce obozu-bazy. Namioty zostały wzniesione bardzo szybko, życie obozowe zorganizowało się i zespoły wyruszyły na przejścia aklimatyzacyjne, wybierając dziewicze szczyty o wysokości około 5000 m.

W piątkę — Jerzy Potocki, Maciej Kozłowski, Jean Bourgeois, Henri Agresti i ja udaliśmy się w rejon doliny Wachan-Gol. Spędziliśmy tam pięć dni, pięć wspólnych dni życia tymi samymi sprawami i wspólnych biwaków. Potocki, Kozłowski i Bourgeois podjęli próbę pierwszego wejścia na Sad Isztrag. Realizując swój plan dali dowód wielkiej wytrzymalności, wspinając się przy bardzo złej pogodzie. Mój mąż i ja weszliśmy w ciągu dwóch dni na dwa nie zdobyte dotąd szczyty liczące po około 5400 m. Po raz pierwszy przekroczyliśmy granicę 5000 m i, podobnie jak niektórzy nasi towarzysze, znieśliśmy ją nieszczególnie, a zwłaszcza ja. Całą piątką powróciliśmy do bazy, gdzie zastaliśmy resztę uczestników wyprawy — wszystkich z bogatym plonem pięciotysięczników.

Ośmieleni tymi sukcesami, zdecydowaliśmy się zaatakować Noszak drogą Austriaków. Miała tego dokonać ekipa złożona ze „starych”, podczas gdy dla „młodych” zaplanowano zdobycie szczytów Darban Zom i Szingeik Zom, a następnie trawersowanie wszystkich wierzchołków Noszaka.

Mnie zaliczono do „starych” (!), Henri wszedł w skład grupy „młodych”, odstąpił jednak swoje miejsce Heinrichowi, aby poprobać wraz z mną wejścia na Noszak, choć prawdę powiedziawszy mieliśmy mało nadziei na jego osiągnięcie...

Dalsza aklimatyzacja odbywała się przy transportcie ładunków. Potocki, Kozłowski, Bourgeois, Mróz, Henri i ja założyliśmy obóz I (5600 m). 23 sierpnia, wraz z Henrim, wynieśliśmy kolejne plecaki do tego obozu, który osiągnęliśmy około godziny 16 wraz z po-

czątkiem opadu śnieżnego. 24 sierpnia w czasie zawiei i gwałtownie padającego śniegu osiągnęliśmy obóz II. Sądzę, że był to najcięższy dzień w moim wejściu na Noszak; stale zapadałam się w głębokim puchu i nie chciałam już iść do góry. To że doszłam, zawdzięczam Henriemu, który przez cały czas torował i zachęcał mnie do wysiłku. Po raz pierwszy spaliśmy w obozie II; w nocy gwałtowny wiatr osłabił konstrukcję namiotu. 25 sierpnia zeszlśmy na wypoczynek do bazy.

29 sierpnia wyruszyliśmy w piątkę — Wala, Rodziński, Wojtusiak, Henri i ja — aby poprobać wejścia na Noszak. Pogoda przez cały czas była bardzo dobra. W ciągu 3 dni osiągnęliśmy obóz III. Wala z powodu choroby pozostał tam w towarzystwie Wojtusiaka i Rodzińskiego. W czasie przechodzenia bariery skalnej pod obozem III zostałam trafiona w głowę kamieniem — było trochę krwi, ale też i więcej strachu niż bólu. Dążąc ku górze odczuwaliśmy dobroczynne skutki aklimatyzacji: wysokość dawała nam się we znaki daleko mniej, niż poprzednio.

W obozie III znajdowali się Heinrich, Potocki, Kozłowski, Bourgeois i Mróz; Poreba, Bała i Saduś zeszl tegoż wieczoru do obozu II. Wszyscy oni byli już na wierzchołku Noszaka (7492 m).

1 września próbę taką podjęliśmy z kolei my — Henri i ja. Sami. Szliśmy — nie mogąc tego do dziś zapomnieć — bez przerwy, z zawziętością, jakiej się sama po sobie nie spodziewałam. Po przybyciu na przełęcz Henri zdjął wibramy, czując, że zaczynają mu się odmrażać nogi. Ja w moich polskich buciorach z filcu (numer 43, podczas gdy zwykle noszę 37), w których miałam 5 par skarpetek i jeszcze jedną parę butów, nie odczuwałam żadnego zimna. Potem kontynuowaliśmy swoją drogę i weszliśmy na Mały Noszak (7350 m). Czekająca nas teraz niezwykle długa grań szczytowa. Postępując nią wolno, przekroczyliśmy drugi wierzchołek — bez nazwy (7400 m) i zeszlśmy na plateau, które oddziela go od głównego wierzchołka.

Tu już bardzo zaczęłam odczuwać wpływ wysokości i długiego wysiłku; gdy zaczęliśmy podchodzić w kierunku głównego wierzchołka na drugą stronę plateau, byłam tak zmęczona, że poczułam jak ulatuje ze mnie cała dalsza odwaga. Wśród śniegów i lodów

poruszaliśmy się zupełnie sami, nie było nikogo, kto by nam dodał otuchy i dopomógł w razie wypadku. „Jak to może być — myślałam — że z jednej strony istnieje grupa 6 czy 8 silnych mężczyzn, którzy mogą sobie wzajemnie pomagać, a z drugiej jeden mężczyzna (24 lata) i jedna kobieta (23 lata), absolutnie sami i bardzo zmęczeni na takiej wysokości”. Z towarzyszymi byśmy szli aż na szczyt, który znajdował się zaledwie o 50 m wyżej. Lecz Henri, zawsze bardzo ostrożny, zdecydował ażeby wyrzec się głównego wierzchołka i zanim znajdziemy się u kresu sił powrócić do obozu III. Zrobiliśmy to z wielką goryczą, jako że mieliśmy za sobą prawie całą wielką turę.

2 września powróciliśmy do bazy. W nocy nad Hindukuszem gwałtownie rozpełtała się zła pogoda. Kosztowała ona życie naszego przyjaciela, Jurka Potockiego i poważnie zagrożiła Bourgeois i Heinrichowi... Ekspedycja zakończyła się smutno i w drodze powrotnej

(która była bardzo długa) odczuwaliśmy dotkliwie pustkę, jaką zostawił po sobie Jerzy.

Jeszcze nim wróciliśmy do Francji prasa francuska ogłosiła mnie „tą wśród żyjących kobiet, która weszła najwyżej” (*la femme vivante la plus haute du monde*). C. Kogan, która zginęła na Cho Oyu, osiągnęła wysokość 7600 m i ona jest z pewnością *la femme la plus haute du monde*.

Mimo, iż jestem Francuzką, sędzę, że ten sukces jest częścią IV Polskiej Wyprawy w Hindukusz. Wielka szkoda, że polskie alpinistki — Baranowska i Śledziwska — które miały wszelkie dane, aby dokonać wejścia, zniechęciły się jeszcze w trakcie transportu na stokach Noszaka. Mogłyśmy być stworzyć piękne polsko-francuskie trio kobiet *les plus hautes du monde*. Szkoda. Nie pozostaje mi nic innego, jak wyrazić nadzieję, że kiedyś stanie się to jeszcze możliwe!

(Przekład: A. Paczkowski)

Warunki pogodowe

Podczas pobytu IV PWH w Hindukuszu Wysokim, mieliśmy w 34-dniowym okresie dni pogodnych 13, dość pogodnych 10, o zmiennej pogodzie i pochmurnych (od 5/8 do 10/10 zachmurzenia nieba) 11. W dni dość pogodne oraz w niektóre pogodne w godzinach południowych i popołudniowych pojawiały się na niebie chmury kłębiaste typu cumulus humilis i fractocumulus, przeważnie o podstawie 6500 do 6800 m, przy czym dość często obłoki trzymały się w okolicy najwyższych masywów. Okresów niepogody mieliśmy trzy. Pierwszy w dniach od 18 do 19 VIII o znacznym zachmurzeniu z przelotnymi opadami deszczu na wysokości bazy, a od ok. 5000 m — śniegu. Przeważały chmury niskie (cumulonimbus i nimbostratus), w momentach przejaśnienia widoczne były altocumulus i altostratus, nadsiadające na ogół z południa i południowego zachodu. W bazie było ciepło, na stokach często schodziły lawiny kamienne.

Po dwu dniach pogodnych, nastąpił od 21 do 26 VIII okres pogody bardzo zmiennej. W ciągu dnia pojawiało się zachmurzenie, połączone w wyższych partiach z przelotnymi opadami śniegu i silnym wiatrem. Najgorsza pogoda była w dniach 23 i 24 VIII. W pierwszym dniu napłynęły z północy chmury, które spowodowały od godz. 17 gęsty opad śniegu. Przez następny dzień było mglisto, wiał silny wiatr i padał śnieg. W tym czasie rozwijała się akcja zakładania obozów i wydawało się, że będzie ją trzeba przerwać. Tymczasem 27 VIII przyszła prawie bezchmurna pogoda. Dnia 31 VIII po północy zerwał się, zaobserwowany w obozie II, silny porywisty wiatr, trwający do rana. W dzień było przelotne zachmurzenie. 1 IX do godziny 12.30 znowu wiał silny wiatr, przy zachmurzeniu w południe. W tym okresie notowaliśmy najniższe temperatury, mierzone 10 cm nad śniegiem: 30 VIII w obozie II (6150 m) godz. 14 — +2°, godz. 18 — -10°, godz. 18.50 — -15°, godz. 19 — -22°; 31 VIII godz. 1 — -31°, godz. 8 — -15°. W obozie III było jeszcze zimniej.

Dnia 2 IX nastąpiło gwałtowne załamanie pogody, a ponieważ wiąże się ono z wypadkiem, opiszę ten okres bardziej szczerzeliwo.

W godzinach południowych 2 IX dobra dotychczas pogoda pogorszyła się. Niebo stopniowo zasnuło się chmurami średniej i wielkiej wysokości

i około godz. 18 otoczyła góry warstwa chmur stratocumulus o górnej granicy 6800 m. W okolicy masywu Tiricz Mir (7706 m) wypiętrzyły się cumulonimbuse z silnymi wyładowaniami elektrycznymi. W pół godziny później obóz II otoczyły chmury i zaczął padać śnieg. Dnia 3 IX pułap był jeszcze wysoki i widoczność z bazy wysuniętej sięgała obozu II, ale w ciągu dnia zachmurzenie wzrosło. Od wieczora 2 IX aż do rana 6 IX w wyższych partiach gór trwał opad śniegu i zamiecie wywołane porywistym wiatrem. Niżej w dniach 4 i 5 IX padał śnieg aż do wysokości 4000 m. Góry od 5000 m zasnuły chmurami cumulonimbus i nimbostratus, nad lodowcem chwilami rozpościerała się warstwa mgieł. We wczesnych godzinach rannych 5 IX zerwała się gwałtowna wichura trwająca kilka godzin, która poważnie uszkodziła namioty. Zaskoczeni przez nią w obozie I, musieliśmy stoczyć ciężką walkę o utrzymanie namiotu na platformie. Następnego dnia rozpozgodziło się. Stopniowo znikło zachmurzenie i bezchmurna pogoda towarzyszyła nam już aż do wyjazdu z Kazi Deh. Jedynie w partiach szczytowych nasilenie wiatru nie słabło, unosząc nad graniami pióropusze śniegu. Po okresie załamania pogody na stromych stokach widać było wielkie tory lawin. Od 4000 m otaczające góry i lodowiec pokrywała gruba warstwa śniegu, od 25 cm na wysokości 4500 m do przeszło pół metra wyżej. Gwałtowny wiatr spowodował, że w czasie akcji ratunkowej natrafialiśmy często na partie stoków wywołane ze świeżego śniegu lub odkryte przez lawiny, albo przeciwnie — pokryte nawianym i zbitym śniegiem. Tarcze i ławice śnieżne sięgały kilkudziesięciu centymetrów grubości.

Ogólnie biorąc mieliśmy pogodę znacznie gorszą niż poprzednie polskie wyprawy. Porównując ją z informacjami dotyczącymi innych wypraw, można ją ocenić jako jeszcze dość przeciętną dla Wysokiego Hindukuszu. Czy była to pogoda związana z monsunem indyjskim, czy też przemierzaniem się mas powietrza gdzieś na północnym zachodzie — nie można powiedzieć, gdyż nie mieliśmy na ten temat żadnych informacji z zewnątrz.

Jerzy Wala

Wypadek na trawersie Noszaka

Andrzej Heinrich

Prawie pięć godzin spędziliśmy wczoraj na wierzchołku Noszaka. Oglądaliśmy niewiarygodne widoki, topiliśmy śnieg w menażce i gotowaliśmy słodkie mleko. Z jednej strony stał majestatyczny Tiricz Mir, z drugiej piękny Kiszmi Chan, gdzieś na wschodzie były Himalaje, jednak ich lodowych kolosów nie można było wypatrzeć na przymglonej linii horyzontu. Zmęczony oczy, skupialiśmy uwagę na obu trabantach Noszaka: śnieżnym szczycie Darban Zom (7219 m) i bezimiennej — dla nas przynajmniej — piramidzie 7291 m w grani biegnącej na wschód. Oba wydawały się niskie i niedalekie, łatwo dostępne, tak jak łatwy był sam Noszak. To nasze cele na najbliższe dni.

Dziś odpoczywamy w obozie III, gromadząc siły przed jutrzejszym wymarszem. Mamy w pięciu przetraversować północne stoki Noszaka i rozbić namioty na przełęczy między szczytami 7219 i 7291 m. Musimy się spieszyć, gdyż w bazie zaczyna brakować żywności i trzeba będzie niedługo opuścić góry.

1 września. Rano do namiotu zagląda Jean Bourgeois. Mówi, że Andrzej Mróz zachorował i zejdzie do bazy, dokąd sprowadzi go Maciek Kozłowski. Naradzamy się: chyba nie powinniśmy przez to zrezygnować z planu! Jest pogoda, czujemy się dobrze, mamy ostatnią szansę zrobienia jeszcze czegoś nowego. Do obozu przyjdą dziś Wala, Rodziński i Wojtusiak. Zatrzymają się tu do naszego powrotu i będą stanowili nasze ubezpieczenie. Zegnamy Kozłowskiego i Mroza i wyruszamy. Idę pierwszy stromymi śnieżnymi polami. Jest pięknie, widoki wspaniałe, lśnienie śniegów kłuje w oczy mimo mocno ciemnych okularów. Wieczorem rozbijamy namiot u stóp głównego wierzchołka Noszaka — w połowie drogi do przełęczy.

2 września. Dziś chcemy osiągnąć przełęcz, wejść na Darban Zom i wrócić na noc do namiotu. Torujemy w głębokim śniegu, na płaskim plateau pozostaje ciemny ślad.

Obóz na trawersie Noszaka. Przed namiotem J. Bourgeois, za nim J. Potocki (jedno z jego ostatnich zdjęć). W tle Darban Zom (7219 m).

Fot. Andrzej Heinrich

Jest nam wesoło, chociaż wiemy, że i tym razem nie wykonamy planu. Urządzamy krótki postój, gotujemy mleko i ruszamy dalej w stronę przełęczy. Za nami schodzi z hukiem potężna lawina lodowa, przecinając linię naszych śladów. Na przełęczy wywiązuje się sprzeczka: obaj z Jeanem chcemy iść nocą na Darban Zom. Argumentujemy księżycem i bliskością wierzchołka. Jurek jest rozsądniejszy — proponuje by wrócić na noc do namiotu, a jutro przenieść go na przełęcz i dopiero wówczas zaatakować oba szczyty. Przynajmniej mu rącej i wracamy.

3 września. O świcie budzi mnie głos Jurka. Wieje wiatr, dach namiotu ugina się pod ciężarem śniegu. Tym razem jesteśmy jednej myśli: trzeba czekać na poprawę warunków. Jutro przecieź znów zaświeci słońce... Jurek pisze list, przed nim na puszcze konserwy kolorowa maskotka. Również Jean wziął się za długopis i uzupełnia swój dzienniczek wyprawy. „Jak kapitan Scott —



powiada — będę pisał do samego końca.” Siedzę przy wejściu, gotuję barszcz i jestem zły, że nie wziąłem swojego zeszytu. Chciałbym w nim zanotować, jak bardzo się cieszę, że jestem tutaj, chociaż namiot łopocze na wietrze i trzeba podtrzymywać maszty.

4 września. Budzą nas głuche odgłosy lawin. Śnieg sypie nadal. Przeglądamy zapas żywności: wystarczy na 3 dni. Ale Jurek wyraża obawę, że zamieć odetnie nam powrót, że stanie się tak, jak w Alpach na Filarze Fréney. Łomot niedalekiej lawiny potwierdza jego słowa. Nie ma już na co czekać, chociaż nasze szczyty są tak blisko... Pakujemy sprzęt i żywność i około godziny 10 ruszamy. Idę pierwszy torując w głębokim śniegu, sondując grunt masztem od namiotu, gdyż wybieramy inną drogę, niż przed dwoma dniami. Nic nie widać w gęstej mgle, kierunek właściwie tylko wyczuwamy. Sytuacja jest groźna. Pada śnieg, dmie wiatr, kilka razy przewalają się przez nas lawiny pyłowe. Około południa drogę zagradza bariera seraków, którą postanawiamy ominąć górą. Idziemy bardzo wolno, gdyż głęboki śnieg osuwa się ciągle spod nóg. Gdy wiatr rozsunał na moment mgły zobaczyłem na prawo płytę lodową z biegnącą skośnie w górę żyłą twardego śniegu. Wchodzimy na nią. Wiatr wzmagą się i miecie śniegiem. Z wbitym czekaniem przeczekuję jego podmuch, gdy oto nagle schodzi z góry lawina pyłowa. Gdy przewala się, stwierdzam z przerażeniem, że na stoku nie ma Jeana ani Jurka. Zaczynam wołać, po chwili gdzieś z dołu dobiega mnie odzew, a w mgle 200 m niżej majaczy ciemna sylwetka: to Jean. Krzyczy, że Jurka przy nim nie ma. Chcę zawrócić ku śnieżnej rynnie, którą niedawno torowałem, gdy nagle spada z góry następna lawina. Czuję, że lecę, trwa to dość długo, wreszcie zatrzymuję się w pobliżu Belga. Spostrzegam niżej w mgle ciemny przedmiot. Rzucam się ku niemu z okrzykiem „Jurek! Jurek!”, rozpoznaję jednak, że to namiot, który oddzielił się od plecaka Jeana.

Dopiero teraz odczuwam ciepło w butach: przebiłem sobie czekaniem nogę w okolicy kolana. Zakładam prymitywny opatrunek. Zaczynamy gorączkowe poszukiwania utrudnione szokiem, mgłą i naszymi kontuzjami, bo i Jean utyka wskutek skręcenia stopy. Masztami sondujemy śnieg, robota beznaoczna — w zamieci nie widać nawet zaśniegu lawiniska. Jean znajduje kawałek taśmy i weinę ze skarpet Jurka. To nas znowu aktywizuje. Niżej stok obrywa się wysoką barierą lodową. Czyżby Jurek przeleciał i przez nią? Zaczynamy tracić wiarę w jego odnalezienie, tym bardziej, że zegarek wskazuje późną już godzinę — niedługo zapadnie zmierzch. Musimy kończyć poszukiwa-

nia. Wiemy dobrze co to znaczy. Ze spuszczonej głowami stoimy milcząc nad leżącym na śniegu namiotem. Nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby nie Jean, który zaczyna pakowanie. Potem włokę się półprzymotnie kilkanaście metrów za nim, wszystko zaczyna mi być obojętne. Pewne jest już tylko jedno: że Jurka nie zobaczymy nigdy więcej.

5 września. Namiot rozbiliśmy wczoraj o zmierzchu na płaskim śniegu. W nocy zbudził nas obu silny ból oczu, wydawało się, że tracimy wzrok. W lawinie pospadały nam okulary i w trakcie przeszukiwania lawiniska, mimo mgły, ulegliśmy porażeniu. Ból przewierca gałki oczne, z trudem rozróżniamy przedmioty. Zawierucha za namiotem trwa. Jean znalazł puszkę po mleku, topi w niej pod kurtką puchową śnieg, po paru godzinach jest tego trochę, dzielimy się skrupulatnie. Żywność była w plecaku Jurka, pościmy więc cały dzień, resztki konserwy zostawiając na wieczór.

6 września. Rano przewyciężamy ból oczu i wyglądamy na świat. Po grani Gumbaz-e Safed przewalają się chmury, ale wierzchołek jest w słońcu. Trzeba wykorzystać przejaśnienie i dotrzeć do obozu III. Zabieramy tylko najważniejsze rzeczy. Jean idzie pierwszy, mimo to zostaje w tyle. Jestem osłabiony, buty zamarzają i uciskają stopy, dokuczają ból w pękniętej kostce. Również Jean ma pękniętą kostkę i naderwane ścięgno. Toteż przez parę godzin posuwamy się zaledwie o 150 czy 200 metrów. W tym tempie osiągnięcie obozu III jest utopią. Wracamy do namiotu, gdzie Jean oświadcza zniechęca, że zejdzie z przełęczy wprost ścianą do bazy i zaalarmuje kolegów. Nie jestem w stanie wyperswadować mu tego pomysłu: wie, że trzeba działać właśnie teraz, że jutro może być już tylko gorzej. Daję mu swoją płachtę biwakową, rękawice, czekan (własny zgubił w lawinie), wreszcie pętlę nylonową, ażeby mógł się asekurować podczas biwaku. Wiem, że wyrusza w trudną drogę. Obaj mamy łyzy w oczach, gdy się żegnamy.

Zostaję teraz sam. Zakładam maszty, wczolguję się do namiotu i rozcieram skostniałe stopy. Z plecaka wyjmuję małego misia, który mi zawsze towarzyszy w górach. Będziemy teraz czekać razem.

7 września. Dzień jest znowu słoneczny, tylko wiatr ciągle targa płachtą namiotu i przez rozdarcia wwiewa do środka pył śnieżny. Leżę w wilgotnym śpiworze. Wieczorem, podobnie jak wczoraj, z przełęczy nadaje latarką sygnały i nawołuję. Z trudem wracam do namiotu. Wiem że tracę siły, że mam już tylko jedną szansę: jutro o świcie wyruszyć do obozu III.

Rejon wypadku na Noszaku. G — Noszak, wierzchołek główny (7492 m), P — wierzchołek pośredni (ok. 7400 m). Strzałka wskazuje kierunek zejścia lawiny, w której zginął J. Potocki. Drogi oznaczono jak na mapce s. 72; d — droga zejścia J. Bourgeois ze szczytu Noszaka. Zdjęcie wykonane z Gumbaz-e Saferd, z odległości 3 km.

Fot. Andrzej Heinrich



8 września. Gdy tylko słońce oświetliło namiot, wychodzę zabierając metalowe maszty. Wieje straszliwie, nad szczytem białe pióropusze. Podchodzę w górę walcząc o każdy krok z wiatrem i głębokim śniegiem. Pozostawiony namiot ciągle wydaje się blisko, a ja staram się oddalić od siebie chwilę, kiedy już nie będę mógł iść dalej. Wracając na przełęcz nie mam po co, zwątpiłem już w nadejście pomocy. Wyznaczam sobie kilkunastometrowe odcinki zbrocza i tak mobilizuję siły, aby je przechodzić bez odpoczynku. Stopy zdrętwiały, palce rąk w pojedynczych rękawiczkach zaciśnięte na metalowych kijkach. Przypominam sobie samotny powrót Buhla ze szczytu Nanga Parbat. Dokąd ja dojdę? Porywy wiatru miotają pyłem śnieżnym, odbierają oddech. Kolejne nawalności przeczekuję siedząc. Już nie pamiętam, ile razy odpoczywam, ile razy z najcięższym wysiłkiem zmuszam się, by nie zostać na śnieżnym stoku. Ciągle wracają wątpliwości: po co to wszystko? Jurek nie żyje, Jean nie żyje. Czy istnieje w ogóle jeszcze obóz III? Jest już popołudnie, gdy dochodzę na skraj tarasu zachodniego — około 150 metrów od miejsca, skąd porwała nas lawina. Trawersuję wzdłuż szczelin w pobliżu ogromnych seraków. Śnieg jest tu twardszy, zmniejszył się też nieco ból w kolanie i kostce. I wreszcie!!! Wreszcie widzę małe namioty obozu III... Jeszcze zejście do małej kotliny, jeszcze w głębokim śniegu w górę, ale cel już mam przed sobą, wiem, że za godzinę będę w namiocie.

Jestem w nim wreszcie, mam już za sobą wiatr, śnieg, słabość, całą tę najtrudniejszą drogę mego górskiego życia. Topię zmarznęte mleko na butanowej kuchence, rozgrzewam dłonie zeszywniałe na metalu masztów. Wieczorem nadaję latarką sygnały, wracam do namiotu, znowu gotuję i piję, ciągle piję, rozkoszując się pierwszym od pięciu dni ciepłym napojem. W nocy stwierdzam z przerażeniem, że stopy mam jak z drewna. Przytomnieję, rozpalam maszynkę, gorączkowo zabieram się do rozcierania nóg. Nie wolno mi zasnąć, dopóki nie pełni nie wróci krążenie. A taki jestem senny, z takim trudem przychodzi mi każdy ruch...

9 września. Rano wypatruję, czy ktoś nie nadchodzi. Cisza. Góry — białe po dużym opadzie — czarują całym swym groźnym majestatem. W drugim namiocie odgrzebuje spod nawianego śniegu puszkę mleka i dżem. W trakcie gotowania zasypiam i resztki mleka przypalają się w menażce. I wtedy, już po południu, przychodzą niespodziewanie Jacek Poręba z Maćkiem Kozłowskim. Skąd się tu wzięli tak nagle? Są nie mniej zdumieni, że zastają mnie w obozie III. Witamy się serdecznie, pierwsze moje pytanie dotyczy Jeana: jest, zszedł szczęśliwie do bazy. Szał radości! Maciek jest zmęczony i ciężko dyszy. Pyta o Jurka. Opowiadam. I znowu robi się smutno... Chcę jeszcze zostać na górze, ale chłopcy naglą do zejścia. Zwijają namioty, odrzucają rzeczy, które tu zostaną. Chowam do plecaka

nowiutki hak „Simond”, który chcieli zstawić, zabieram też zieloną rękawiczkę i wełnianą czapczkę Jurka, ostatnie po nim pamiątki. Schodzimy do obozu austriackiego, gdzie witają nas Agresti i Sledziwski. Następnego dnia likwidujemy obóz II, a potem także I. Wieczorem osiągamy bazę wysuniętą, by już w nocy dotrzeć do bazy głównej.

11 września. Gdy słońce oświetla namiot wstajemy i rozkładamy materace pod

ogromnym głazem. Po 17 dniach spędzonych w górach znowu jestem ze wszystkimi. Chłopcy co chwila przynoszą mi coś do picia. Nad nami pławi się w słońcu potężna biała ściana Gumbaz-e Safed. Znowu patrzę na góry przyjaźnie. Jednak radość odbiera myśl, że nigdy już nie zobaczę Jurka Potockiego — niezrównanego „Potolla”, wypróbowanego towarzysza ze skalnych dróg. Zostanie na zawsze w górach, w których był tak rozkochany.

Jutro obóz trzeci...

Jean Bourgeois

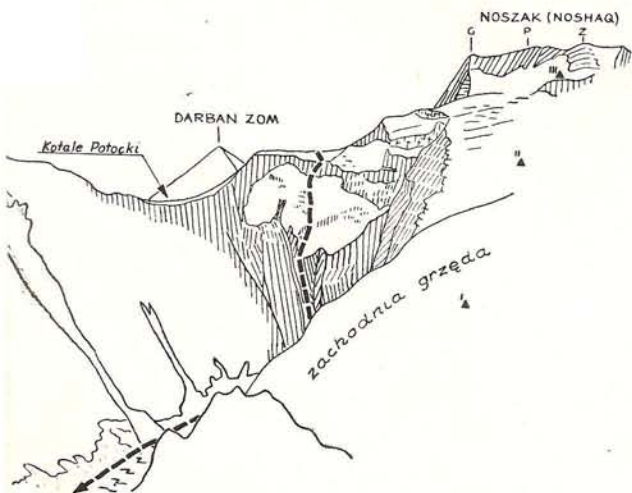
Próba przebicia się przez śniegi do obozu III zawiodła po niespełna 150 metrach... Andrzej tłumaczy w naszym niemożliwym żargonie: „*Imroz namiot, jutro obes trzeci*”... Jutro, jutro! Ciągłe jutro, a nasze siły wążają z dnia na dzień. To już 9 dni jesteśmy powyżej 6000 metrów, — o sześć dni za dużo!

Po raz pierwszy myślę o ogromnej ścianie zachodniej pod przełęczą. Czy można by zejść tamtędy? Wydaje mi się zastraszająca: wielkie zbcze śniegowe, bardzo strome, poprzecinane partiami skalnymi, których trudności nie podobna ocenić. Część dolna, jeszcze bardziej stroma, jest zupełnie niewidoczna. Całkowita różnica poziomów sięga chyba 2000 metrów! Wołam Andrzeja, który dochodzi i patrzy milcząco. W końcu sugeruję: „*Imroz tam! Schodźmy tamtędy dzisiaj*”. Nie możemy tu czekać jeszcze cały dzień”. Nawet jeśli nie rozumie moich słów, chwytą ich sens. Milczy, a potem odwraca się: „*Potollo!*” — to jest całe zdanie. Dla niego wejście w tę ścianę jest równoznaczne z podzieleniem losu naszego towarzysza.

Nalega: „*Imroz namiot, jutro obes trzeci!*” Ja nie liczę na szybki ratunek i oceniam trzeźwo: jeżeli nie dojdziemy do obozu III jutro, nie dojdziemy tam nigdy. A jest mało prawdopodobne, żeby do jutra śnieg stwardniał dostatecznie. Wybieram więc samotne zejście nieznaną ścianą... Pociąga mnie to jeszcze dlatego, że pozwoli mi przejść do czynu. Nie podoba mi się bierne czekanie na bardzo niepewną pomoc.

Andrzej otwiera plecak i daje mi swój cenny sprzęt. Dzielimy się wreszcie żywnością, jaka nam została: dwie kostki cukru dla niego i trzy dla mnie, ponadto garść płatków owsianych... Ściskamy sobie ręce w rękawicach i patrzymy na siebie przez kilka sekund, obaj przekonani, że nie zobaczymy się więcej. Potem Andrzej wraca przygarbiony w stronę namiotu, a ja rozpoczynam zejście.

Nie przebyłem jeszcze stu metrów, a już napotykam duże trudności: strefę skał ledwo pokrytych warstwą śniegu. Po kilku próbach rezygnuję z ich przejścia. Podchodzę trochę i trawersuję w lewo. Śnieg jest lepszy i coraz głębszy. Ale ten śnieg jest również niebezpieczny. Gwałtowne osiadanie całej płaszczyzny, na której stoję, potwierdza moje domysły. Wycofuję się szybko i zaczynam się bać. Jestem o krok od powrotu do Andrzeja. Ale perspektywa podchodzenia tych stu metrów zachęca mnie do wytrwania. Znajduję w końcu przejście,



Zejsięcie J. Bourgeois po wypadku. Jego droga jest najtrudniejszą z wszystkich przebytych w czasie wyprawy. Nie oznaczono miejsca biwaku. Opracował Jerzy Wala na podstawie zdjęcia Krzysztofa Berbeki

które mnie sprowadza poniżej ryzykownego odcinka. Rad, że mi się to udało, znowu odnajduję w sobie odwagę. Zużyję teraz całą moją wolę i całą umiejętność, by zejść tą ścianą w sposób bezbłądny: chcę żyć!

Dochodzę do dużego śnieżnego stoku, na którym — patrząc z przełęczy — miałem nadzieję szybko wytracić wysokość. Śnieg dobrze przylega do lodowego podłoża, jednak kontuzja nogi nie pozwala mi na zastosowanie poprawnej techniki schodzenia. Aby uniknąć bólu, jestem zmuszony schodzić twarzą do stoku, na przednich zębach raków. Nie jest to trudne, ale schodzę ostrożnie, chcąc uniknąć najmniejszego nawet błędu. Nagle lód staje się zbyt twardy i znowu muszę trawersować w poszukiwaniu lepszego zejścia. Pokonawszy łącznie około 1000 metrów dochodzę do wielkiego proggu skalnego. Jestem zaskoczony, bo to, co z góry brałem za załamanie stoku, okazuje się gigantyczną ścianą, której wysokość oceniam na 800 metrów. Ponieważ zaszło już słońce, decyduję się na biwak w tym miejscu.

Znajduję solidny blok z kilkoma szczelinami. Wbijam czekan, pętla otrzymana od Andrzeja i moja własna wystarczą do założenia autoasekuracji. Drając śnieg sporządzam sobie półkę — bardzo wygodną, chociaż nogi zwisają nad ekspozycją. Ciepłe rzeczy którymi rozporządzam, pozwolą mi znieść potężne zimno nocy. Mam na sobie 2 pary grubych pończoch, podwójne buty, kalessony, spodnie wełniane a na nich nylonowe, kosztule wełniane, sweter, kurtkę puchową, długi anorak nylonowy i czapkę wełnianą. Na to naciągam śpiwór, worek biwakowy z nylonu, wreszcie od góry płachtę biwakową. Biwak będzie mimo wszystko ciężki, gdyż puch jest zamknięty, a mróz sięga 30°. Z przyzwyczajenia przeszukuję plecak i z radością odkrywam w nim dziesiątek suchych winogron...

Noc jest ciężka. Nad ranem zimno staje się jeszcze bardziej dokuczliwe. Przez nylonowe ścianki przedostaje się wreszcie światło dnia. Z nabożną powagą spożywam suche winogrona, potem się pakuję. Przy wyjściu z płachty mróz atakuje nos i palce, chociaż są schowane w 2 pary rękawic. Muszę wyruszyć zaraz, żeby wykorzystać każdą godzinę dnia. Wychylając się nad przepaścią widzę dwie możliwości zejścia: na prawo śnieżny kular między stromymi zboczami, na lewo ciąg progów z kruchej skały, na pewno bardzo trudnych. Kular jest nęący, ale niebezpieczny: jak tylko słońce padnie na pola ponad nim, ruszą lawiny. W końcu wybieram lewe zejście, trudniejsze lecz nie zagrożone. Kłopoty zaczynają się od razu, gdyż muszę przetrawersować

zbocze z lodu jak szkło. Raki nie trzymają, ramię więc stopnie. W ciągu pierwszych metrów jestem bardzo zdenerwowany, ale mięśnie rozgrzewają się i odzyskują pewność siebie.

W końcu znajduję się w terenie skalnym. Łupek jest zadziwiająco kruchy, ale ma tę ważną cechę, że jest uwarstwiony pionowo. Chwyty wykruszają się za najmniejszym pociągnięciem poziomym, wytrzymują jednak mój ciężar przy obciążeniu pionowym. Na stromych odcinkach pomagam sobie pętlą, zaczepiając ją nad sobą na występkach skały. Drogę muszę wybierać w miarę obniżania się, gdyż z góry nie widać nawet jej kierunku. Odczuwam, jak zbawienna w skutkach jest utrata wysokości. Trudności są wielkie — na pewno w stopniu IV, a odcinkami nawet V. Dochodzi do tego fatalna kruchość skały. Ale czuję się na wysokości zadania. Ponieważ posiadam leniwy temperament, wszystkie swoje możliwości angażuję tylko wtedy, gdy jestem do tego naprawdę zmuszony. Wtedy zawsze zdumiewam się, jak wielki posiadam ich zapas.

Po zejściu tą metodą około 200 metrów jestem w pobliżu kuluaru, którego się tak obawiałem. Na szczęście jest szerszy i wydaje się mniej niebezpieczny. Schodzę więc nim, zerkając ciągle ku górze. Szybko znajduję się 300 metrów niżej. Zleb staje się tu bardzo wąski, ale widzę możliwość opuszczenia go w lewo nadzwyczaj trudnym trawersem. Teren pode mną jest jeszcze bardziej stromy, niż wszystko, co przeszedłem dotąd. Zmieniam więc taktykę i wybieram do zejścia serię kominów. Chociaż trudniejsze, wydają mi się bardziej bezpieczne. Czas upływa i w końcu znajduję się z bijącym sercem o 20 metrów od końcowego stoku śnieżnego, który sprowadzi mnie poza wszelkie niebezpieczeństwo. Mam do wyboru 3 komin — wszystkie jednakowo trudne. Waham się długo, by nie popełnić błędu tak blisko ocalenia. Wybieram wreszcie lewy, do którego wejście jest przewieszone, a dno pokryte lodem. Gdy stawiam na nim nogę, obsuwam się raptem i zawisam z ręką w pętli, którą wyżej zaczepiłem o pewny występ skały. Pierwszy upadek, tak blisko celu! Błogosławię pętlę otrzymaną od Andrzeja i chyba przez godzinę pokonuję ostatnie metry kruszyny.

Nareszcie stoję na śniegu, w pełnym słońcu, żywy! Nagle odczuwam ogarniające mnie zmęczenie i zmuszam się, by zejść na morenę, nim odpoczne. Całkowicie wyczerpany dochodzę do pierwszych kamieni. Zrzucając plecak słyszę szmer wody. Podnoszę kilka kamieni i widzę ją płynącą cienkim, wesołym strumykiem. Kładę się w słońcu na brzuchu z nosem w strudze. Pozostają tak



Główny wierzchołek Noszaka (7492 m) widziany z wierzchołka wschodniego (7480 m)

Fot. Andrzej Mróz

chyba z godzinę. Ale trzeba się zdobyć na dalszą drogę. Po pięciu godzinach wyczerpującego marszu spostrzegam w końcu mały namiot bazy wysuniętej. Widzę, jak wychodzi z niego Francuz Agresti. Chcę wołać, ale nie mogę wydobyć głosu... Spostrzegam mnie wreszcie i wkrótce jestem otoczony przez alpinistów, którzy pomagają mi przejść ostatnie metry.

— Biedny stary, pogrzebano ciebie!
— Z Potollem tak się stało...
— Potollo nie żyje?
— Zginął w lawinie. Ale Andrzej żyje, tam wysoko. Trzeba iść po niego jak najprędzej.

(Przekład: Maria Heinrich. Wybór i skróty redakcyjny z większego opracowania, z uwzględnienia autora.)

Działalność naukowa podczas IV PWH

Janusz Wojtusiak

Spośród wypraw alpinistycznych, jakie w ciągu ostatnich lat działały w Hindukuszu Wysokim, tylko nieliczne mogły wykazać się również działalnością naukową. Przykładem takiej ekspedycji naukowo-sportowej, może być zorganizowana w roku 1960 przez Uniwersytet w Kyoto wyprawa japońska na Noszak. Oprócz alpinistów brali w niej udział także naukowcy różnych specjalności, między innymi biologowie. Badania przyrodnicze w tych górach przeprowadzali również Czesi w roku 1965, głównie z punktu widzenia parazytologii. Dalszych interesujących informacji o przyrodzie tego rejonu udało się uzyskać podczas ostatniej IV-ej Polskiej Wyprawy w Hindukusz, w której autor niniejszego miał możliwość uczestniczenia jako zoolog.

Obszar Hindukuszu Wachańskiego — rejon działania wyprawy — jest dotychczas bardzo słabo poznany pod względem przyrodniczym i dlatego stwarza szerokie możliwości do badań zoologicznych i ekologicznych. Zoolog napotyka tutaj na szereg interesujących zagadnień ściśle związanych ze specyficznym wysokogórskim charakterem tych gór. Doliny u podnóża masywu leżą przeważnie na wys. ok. 2500 m, natomiast jego szczyty przekraczają 7000 metrów. Spotyka się tu więc duże różnice klimatyczne. Świat zwierzęcy jest pod silnym wpływem fauny wysokogórskiej Pamiru, Tian-Szanu i Himalajów, a także pustynnych i stepowych obszarów Tybetu i Środkowej Azji. Hindukusz Wachański leży na granicy wielkiej krainy palearktycznej i orientalnej, stanowiąc bardzo interesujący teren pod względem zoogeograficznym i ekologicznym.

W związku z tym w programie badań, jaki ustalono jeszcze przed wyjazdem z kraju, było zebra-

nie z rejonu działania wyprawy możliwie dużego materiału owadów i roślin, który pozwoliłby nie tylko na rozszerzenie wiadomości o tamtejszej faunie i florze, ale także na zorientowanie się jak wygląda rozmieszczenie pionowe poszczególnych gatunków i do jakich elementów zoogeograficznych one należą. Stosownie do tego programu dokonywano zbiorów roślin i zwierząt z rozmaitych grup w jednej z dolin zbiegających z wysokich partii Hindukuszu Wysokiego na północ do doliny Ab-e Pańdza — w dolinie Kazi Deh. Rośliny i zwierzęta — najczęściej owady (jętki, widelnice, motyle) — zbierano z różnych wybranych stanowisk, których wysokość nad poziom morza wznosiła w miarę posuwania się w głąb doliny. Owady szczególnie dobrze nadawały się do tego celu, gdyż ich duża ilość oraz stosunkowa łatwość w chwytności pozwalała na szybszą i w miarę dokładną orientację w tym zagadnieniu, czego z innymi trudniej osiągalnymi grupami zwierząt nie dałoby się osiągnąć w krótkim okresie działalności górskiej. Ponadto przeprowadzono podobne obserwacje, choć na mniejszą skalę, w dolinie Wachan-Gol, stanowiącej wyższe boczne piętro walnej doliny Kazi Deh.

Program działalności przewidywał również, o ile to będzie możliwe, zorientowanie się w charakterze fauny naśnieżonej Hindukuszu Wachańskiego, to znaczy zwierząt żyjących na śniegu, typowo śniegolubnych, bądź też znajdujących się tam przypadkowo, np. naniesionych przez wiatr. Mając możliwość przeprowadzenia tego rodzaju obserwacji na grzędzie Noszaka, autor zbierał począwszy od granicy wiecznego śniegu w górę wszystkie napatkane zwierzęta bezkręgowce, notując jedno-

częśnie przy okazach niektóre dane ekologiczne, jak temperatura powietrza oraz kierunek wiatru. Materiały zebrane na wysokościach między 4700 a 6800 m nie są jeszcze w chwili obecnej opracowane, ale wiadomo już, że najczęstszymi reprezentantami tej specyficznej fauny są drobne owady, głównie muchówki i motyle oraz pająki. W miarę posuwania się w górę stosunek ilościowy pomiędzy znalezionymi na śniegu okazami martwymi i żywymi maleje na niekorzyść żywych. I tak jeżeli np. na wysokości 5500 m obserwowano ok. 50% żywych i 50% martwych okazów, to już na wysokości 6000 m ilość martwych wzrosła do ok. 70%, a na wysokości 6800 m, pod skalną barierą, którą kończy się grzęda Noszaka, wszystkie natopkane okazy były martwe, a ich rozmieszczenie na śniegu wskazywało, że zostały nawiane przez wiatr.

Oprócz tych obserwacji prowadzonych w górach Wypokiego Hindukuszu, podobne obserwacje dotyczące pionowego rozmieszczenia owadów na przykładzie motyli dokonywał autor korzystając z wyjazdów aklimatyzacyjnych członków wyprawy w górny Paghman koło Kabulu, oraz w okolicy przełęczy Salang w Hindukuszu Zachodnim. Dzięki tym wyjazdom można było prześledzić

różnice i podobieństwa zachodzące w pionowym rozmieszczeniu różnych gatunków motyli w Paghmanie i Hindukuszu Zachodnim, a także uchwycić zależności zachodzące pomiędzy rozmieszczeniem pionowym tych gatunków a warunkami ekologicznymi środowisk, zmieniającymi się wraz ze wzrostem wysokości nad poziomem morza. Otrzymane dane porównywano z podobnymi danymi zebranymi w Hindukuszu Wysokim.

Podczas działalności przyrodniczej w górach były dokonywane również inne drobne obserwacje, jak np. w górnej partii Lodowca Kazi Deh nad migracjami pewnego gatunku motyla, który przelatywał masowo od przełęczy obok Asp-e Safed ze strony pakistańskiej w dół doliny. Notowano także najwyżej spotykane stanowiska latających ptaków, nietoperzy itp.

Również w drodze powrotnej wyprawy przez Afganistan, Iran, Irak, Jordanię, Syrię i Turcję były zbierane owady z różnych grup, co pozwoliło na poznanie różnic w składzie jakościowym w miarę stopniowego przechodzenia fauny środkowo-azjatyckiej w środkowo-europejską.

Zbrane podczas trwania ekspedycji materiały naukowe są obecnie opracowywane i posłużą do szerszego publikacji naukowych.

Problem własnego samochodu

Problem dojazdu z Europy w góry Azji centralnej rozwiązywany jest obecnie przez wiele wypraw, zwłaszcza austriackich i niemieckich — z pomocą własnych samochodów. Stan dróg w krajach bałkańskich oraz zachodniej i środkowej Turcji pozwala na szybkie pokonanie prawie połowy całej odległości, a i przejazd przez wschodnią Turcję, Iran i Afganistan stracił w ostatnich latach wiele z „wielkiej przystość”. Odległość z Europy do Afganistanu pokonuje się obecnie w 7—10 dni, przy czym prawie cała trasa jest dobrze zaopatrzona zarówno w paliwo, jak i w punkty żywnościowe i noclegowe. Tym niemniej należy zwrócić uwagę na trudności przejazdu w pełni lata przez stepowe i pustynne obszary Iranu, które wydatnie wpływają na zmęczenie i obniżenie kondycji podróżników. Dlatego też wygoda dojazdu niemal do stóp siedmiotysięcznych szczytów Hindukuszu jest okupiona na ogół gorszą aklimatyzacją, niż w trakcie mozolnego podejścia w rejon działania.

IV Polska Wyprawa w Hindukusz odważyła się jako pierwsza z polskich wypraw egzotycznych na podjęcie ryzyka przewozu bagażu wyprawy i części jej uczestników samochodem wprost z kraju. Sprawa nie była łatwa. Brakowało nam przede wszystkim doświadczenia zarówno co do doboru trasy i znajomości jej trudności, jak też odnośnie właściwości trakcyjnych samochodu Star 66 wypożyczonego wyprawie jako samochód doświadczalny przez Fabrykę Samochodów Ciężarowych w Starachowicach. Nie mieliśmy map, cen benzyny itd., nawet wszechwiedzący Polski Związek Motorowy nie potrafił dostarczyć nam wielu konkretnych informacji. Pewnym oparciem stał się dla nas artykuł G. Grubera zamieszczony w miesięczniku „Alpinismus” 7/1965. Ostrożna kalkulacja wykazała, że przejazd tego rodzaju nie powinien wypaść drożej, niż wystanie ładunków koleją, a szarpnięcie nerwy oczekiwania poprzednich polskich wypraw na bagaż i ich kłopoty przy wynajmowaniu pojazdu na miejscu tym bardziej zachęcały do zarzytkowania.

Wydaje mi się, że warto zapoznać przyszłych użytkowników tego sposobu lokomocji z niektórymi naszymi doświadczeniami, aczkolwiek przejazd samochodem osobowym ma specyfikę nieco inną.

Przejazd do Kabulu zaprojektowany na 14 dni trwał w rzeczywistości 23 dni, a zużycie paliwa wyniosło średnio 50 litrów na 100 km. Opóźnienie powyższe wynikało głównie z przeciążenia samochodu o ok. 1 tonę wobec trudności przejazdowych wyprawy, o których piszę w sprawozdaniu. Półtonowa przyczepa także nie przyspieszała przejazdu. Ponadto niewłaściwy okazał się dobór trasy podróży. Z analizy uzyskiwanej szybkości średniej wynika, że niewiele zależała ona od rodzaju nawierzchni, natomiast spadała wyraźnie w terenie górskim. Z tego względu przejazd północną stroną górzystej Turcji nad Morze Czarne był błędny i wpłynął na opóźnienie przejazdu do Kabulu. Przy 8- do 9-godzinnej jeździe samochód przebywał przeciętnie ok. 350 km dziennie. Było to znacznie mniej, niż można się było spodziewać. Przyczyna leżała także w zbyt małej mocy tego typu samochodu, wynoszącej ok. 100 KM (szybkość maksymalna ok. 70 km/godz.), lecz tu niestety nie mieliśmy wyboru.

Znacznie lepiej sprawował się nasz pojazd na drogach górskich, gdzie jego właściwości samochodu terenowego znajdowały pełne wykorzystanie. Projektowany na 6 dni przejazd do Kazi Deh został skrócony o jeden dzień. W stosunku do używanych w Afganistanie ciężarówek „International” Star był wozem słabszym, niższym i nieco szerszym. Niemniej napęd na trzy osie i korzystne przełożenia skrzyni biegów pozwalały mu dobrze konkurować z „burubachajami”, a sześć kół dawało znacznie większą pewność jazdy w ciężkim terenie górskim. Niższy punkt ciężkości nie stwarzał niebezpieczeństwa przy przechyłach, aczkolwiek szerokość wozu stanowiła przeszkodę na ostrych, wąskich łukach.

Reasumując można stwierdzić, że przejazd samochodem w Hindukusz jest opłacalny, jeżeli jedzie nim cała grupa i jeśli możliwe wszystkie naprawy wykonuje się we własnym zakresie. Ważnym warunkiem jest dobór korzystnej trasy przejazdu, a także to, by w drogę zabrać dwóch kierowców, będących równocześnie dobrymi mechanikami.

Roman Sledziewski

Zaopatrzenie żywnościowe

Zestaw żywności został zaprojektowany głównie w oparciu o doświadczenia II PWH z nieznacznymi odchyleniami w plus, co miało stanowić rezerwę aprowizacyjną. Całość zapakowana w 50 bębnow ważyła ok. 1,7 tony i obliczona została na 1444 racji dziennych (20 osób × 78 dni). Ilość ta niestety okazała się niewystarczająca, i to we wszystkich asortymentach. Pierwszą przyczyną była decyzja, że samochodem pojedzie nie 5, a 8 osób, oraz to, że podróż trwała zamiast projektowanych 20 aż 25 dni (z postojem na Łysej Polanie). Dalszą przyczyną późniejszych braków było pozostawienie w Kabulu oprócz planowanych 200 porcji również 3 bębnow z żywnością przeznaczoną na działalność górską. Było to konieczne ze względu na powrót wszystkich uczestników samochodem do kraju, podczas gdy pierwotnie planowano przejazd tylko 10 osób.

Tak więc, gdy 11 VIII znaleźliśmy się w Kazi Deh, posiadaliśmy ilość żywności odpowiadającą 650 porcjom (wliczając w to zapas na przejazd powrotny do Kabulu), zamiast planowanych 900 porcji. Dlatego też jeszcze przed rozpoczęciem działalności górskiej liczyliśmy się z możliwością wystąpienia braków. Niedobór ten mógłby być pokryty przez posiadaną rezerwę żywności, gdyby nie m. in. następujące czynniki:

1. w górach żywiłmy towarzyszących nam 2 żołnierzy, co nie było w planie przewidziane;
2. częste żywności musieliśmy dać tragarzom jako bakszysz;
3. w czasie działalności górskiej kilka osób w ogóle nie wychodziło z bazy, inne spędzały tam większość czasu. Był to niebagatelny czynnik wpływający na szybkie znikanie zapasów.

Trzeba zaznaczyć, że braki żywności nie wpłynęły na działalność górską. W czasie wypadów aklimatyzacyjnych poszczególne zespoły otrzymywały racje wystarczające, a w czasie akcji na Noszaku obozy zaopatrzone były wręcz obficie. Poza kilkoma dniami przed przyniesieniem żywności

z Kazi Deh, także w bazie nie odczuwano poważniejszych braków. Wszystkie asortymenty żywności skończyły się prawie równocześnie w momencie wyjazdu z Kazi Deh. W związku z tym w czasie przejazdu do Kabulu żywiłmy się prawie wyłącznie w miejscowych gospodach, gdzie jedynymi produktami są ryż, baranina i chleb.

Zestaw produktów był bardzo urozmaicony. Obejmował 8 gatunków konserw jarzynowych, 13 gatunków konserw mięsnych i 9 gatunków konserw rybnych. Wszystkie krajowe produkty odznaczały się doskonałym smakiem i dobrze zniosły trudne warunki transportu. Wyjątkiem był ser w tubach, zresztą otrzymany za darmo i bez gwarancji trwałości. Szczególnie uznanie należy wyrazić Łódzkiemu Zakładom Środków Odżywczych (doskonałe konserwy mięsno-jarzynowe), Zakładom w Tymparku (koncentrat soku porzeczkowego i żurawinowego) oraz Zakładom w Kotlinie (świetne konserwy jarzynowe, sok pomidorowy i dzemy). Z konserw mięsnych najlepiej smakowały gulasz wołowy i wieprzowy oraz cielęcina w sosie własnym. Cennym urozmaicheniem w bazie były jaja w proszku i miód. Dobrym pomysłem okazało się zabranie dużej ilości kawy „Nesca”, którą chętnie piliśmy w górnych obozach.

Doskonałego niesłodzonego mleka w puszkach zabraliśmy 134 kg. Wskutek nieracjonalnej gospodarki ilość ta była absolutnie za mała i braki wystąpiły tu najdotkliwiej. Bardzo dobre okazały się suchary szalupowe, których mieliśmy 60 kg, a mogło być trzy razy więcej, nawet kosztem sucharów pszennych. Jednym z niewielu błędów było zasugerowanie się smakiem gatunków lepszych, których wzięliśmy więcej (kotlet z pieczarkami, sproty, sardynki, gulasz wołowy z grzybami). Konserwy te szybko się przejadły, co potwierdza zasadę, że wyprawa powinna zaopatrzyć się we wszystkie gatunki w tych samych ilościach.

Maciej Kozłowski

Podziękowanie

Jest moim miłym obowiązkiem podziękowanie wszystkim tym instytucjom i osobom, bez których pomocy wyprawa z trudnością tylko mogłaby dojść do skutku.

Dyrekcji Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, a szczególnie panu dyrektorowi I. Maciejewskiemu i inż. Kozłowskiemu dziękuję za powierzenie nam samochodu terenowego Star 66 i drobiazgowo jego przygotowanie do ciężkiej drogi. Przewodniczącemu MKKFiT w Krakowie, majorowi J. Mareckiemu, dziękuję za życzliwe zainteresowanie i pomoc finansową. Dyrektorowi naczelnemu Kombinatów im. Lenina, inż. B. Kotomyjskiemu, dziękuję za udzielone poparcie finansowe i słowa zachęty przy organizacji wyprawy. Ministrowi Przemysłu Chemicznego inż. A. Radlińskiemu składam podziękowanie za zlecenie nieodpłatnego przydziału folii polietylenowej i materiałów

fotograficznych. Ośrodkom Informacji Naukowo-Technicznej Spółdzielni Farmaceutycznej i „Polfy” serdecznie dziękuję za bezpłatny przydział cennych lekarstw, które wydatnie obniżyły nasze wydatki na ten cel.

Korzystając z okazji, chciałbym też wyrazić serdeczne podziękowanie panu ambasadorowi J. Petrusowi, za pomoc w załatwianiu trudnych spraw formalnych w Kabulu, a także Przewodniczącemu Polonii w Kabulu, inż. S. Kozłowskiemu, który zorganizował po powrocie z gór opiekę finansową dla wyprawy.

Trudno byłoby wymienić tu wszystkie instytucje i osoby, które udzieliły nam swego poparcia i pomocy w takiej czy innej postaci. Składam im tą drogą jeszcze raz w imieniu wszystkich uczestników wyprawy serdeczne podziękowanie.

Roman Sledziwski

Hindukusz z perspektywy

(refleksje)

Najwyższa część Hindukuszu, dla której przyjmuje się ostatnio coraz częściej nazwę „Hindukusz Wysoki”, sięgająca od przełęczy Barogil (3797 m) na wschodzie do przełęczy Sad Isztrag (5167 m), lub — jak chcą niektórzy — aż do Chatina (4880 m) na zachodzie, należy po ośmiotysięcznych Himalajach i Karakorum do rzędu najpotężniejszych masywów górskich świata. Osiąga wysokość tę samą co Kun-Lun (Uług Mustang 7723 m w Arka-Tag — Górach Przewalskiego, Kongur 7719 m w łańcuchu Kaszgarskim), ale przewyższa go, jak również inne siedmiotysięczne góry Centralnej Azji (łańcuchy Pamiru, Tiań-Szań, Transhimalaje, pasmo Kungka) zwartością, przeciętną wysokością grani i zagęszczeniem szczytów siedmio- i sześciotysięcznych.

Przypomnijmy, że do roku 1960 Hindukusz Wysoki należał do najmniej znanych wysokich gór na Ziemi. Zdobyte były wprawdzie trzy spośród czterech jego najwyższych wierzchołków (Tiricz Mir 7700 m — Norwegowie 1950 r., Istor-o-Nal 7398 m — Amerykanie 1955 r. i Saragrar 7349 m — Włosi 1959 r.) — wszystkie leżące w odnogach odchodzących na południe od głównego grzbietu, ale nieznaną była nawet w przybliżeniu liczba pozostałych szczytów siedmiotysięcznych, ich lokalizacja, szczegółowy przebieg grani głównej i grani bocznych, zwłaszcza na terenie afgańskiego Wachanu. Lata 1960 — 1966 nie tylko wypełniły tę lukę, ale równocześnie były jedynym chyba w historii alpinizmu przykładem tak intensywnego poznawania pewnej partii gór najwyższych — rozwiązywania ich zagadek z równoczesnym bardzo szybkim przechodzeniem poszczególnych etapów zdobywania gór, a nawet równoczesnego ich realizowania. Główny wkład mają tu Polacy i Austriacy. Polskie kolejne opracowania topograficzne Hindukuszu Wachańskiego były też podstawą działania w terenie niemal wszystkich wypraw i są, obok zdobywczy szczytowych, naszym trwałym wkładem w poznanie tego rejonu.

Odcinek drogi na M 10 — przez ścianę skalno- lodową na grań północno-zachodnią i nią na szczyt. Punktem oznaczono biwak zespołu A. Mróz, J. Poreba i R. Zawadzki (14/15 VIII 1966).

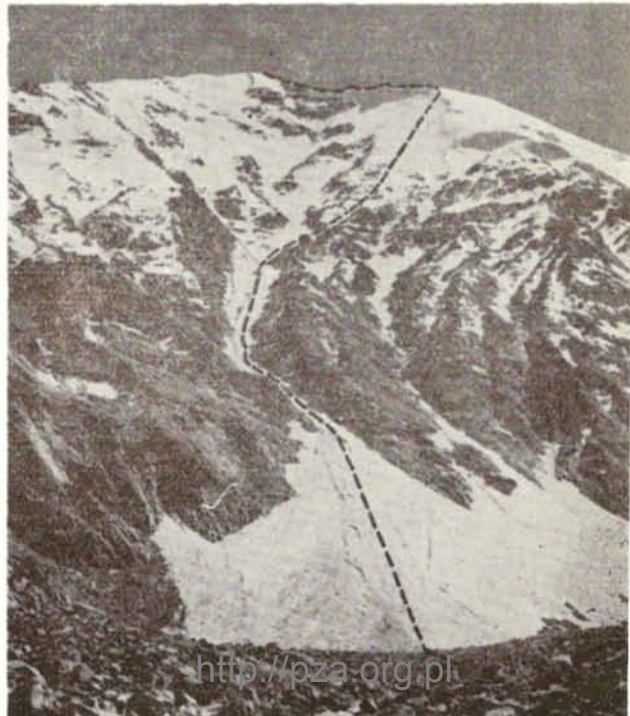
Fot. Ryszard Zawadzki

W samym zdobywaniu gór wysokich można wyróżnić cztery zasadnicze etapy:

- 1) zdobycie szczytu — wejście możliwie najłatwiejszą drogą;
- 2) wchodzenie na szczyt innymi drogami, z reguły trudniejszymi;
- 3) zdobywanie poszczególnych grani i ścian;
- 4) konstruktywizm alpinistyczny — rozwiązywanie określonych problemów sportowych.

Dwa pierwsze etapy należą do alpinizmu odkrywczego, dwa dalsze — już do sportowego.

Im dalej cofamy się w historię alpinizmu, tym wyraźniej i dłuższymi okresami rozdzielone są poszczególne etapy, a zwłaszcza odkrywanie i sport. Im wyższe są góry, tym więcej czasu pochłania przejście od jednego etapu do drugiego: góry najwyższe stwarzają zbyt duże problemy w osiągnięciu celów egzotycznych i wyprawy w nie są zbyt kosztowne, aby w obecnym stadium rozwoju alpinizmu opłacało się realizować w nich cele czysto sportowe — trzeci, a tym bardziej czwarty. Do tego jeszcze ciągle wystarczają Alpy i Kaukaz, w którym alpinizm za naszej pamięci przeszedł z typu egzotycznego do typu sportowego. Aconcagua czekała 37 lat na wejście drogą inną



niż droga pierwszego zdobywcy (Polacy w 1934 r.), a dalszych 20 lat na przejście południowej ściany (Francuzi w 1954 r.). Na Evereście już tylko 7 lat dzieliło pierwsze wejście od południa w 1953 r. od wejścia chińskiego od północy w r. 1960, a następne trzy lata — od wejścia Amerykanów zachodnią granicą (cała historia zdobywania Everestu kształtowała się zresztą pod naciskiem warunków politycznych). W Hindukuszu zarówno warunki polityczne jak i ostra konkurencja nie pozwalały na przestrzeganie pięknych starych „reguł gry” ekspansji alpinistycznej, to też obserwujemy tu ataki na pierwszorzędne szczyty z pozycji wyjściowych, o których niejednokrotnie z góry wiadomo, że są dalekie od najlepszych i najdogodniejszych, ataki czasami uwieńczone sukcesem (Kuh-e Nadir Szach), nieraz niepowodzeniem (Szachaur). Nerwowa atmosfera konkurencji sprawiła, że ponosiliśmy tu porażki na skutek pośpiechu i dążenia do jak najszybszego sukcesu, kosztem uprzedniego dokładnego rozpoznania. Tak straciliśmy Kiszmi Chana w 1962 r.; przegraliśmy go zresztą po raz drugi w roku następnym z powodu opieszałości (czy — jak kto woli — niemożności wcześniejszego wyjazdu). Tutaj rozpoznanie było już dobre i polska droga jest na pewno łatwiejsza od drogi Austriaków, podobnie jak drugie wejście na Kuh-e Nadir Szach od południa było bez porównania łatwiejsze od naszych długich i ciężkich zmagañ na północno-zachodniej grani.

Ale równocześnie obserwujemy śmiałe ataki, poprzedzone rozpoznaniem, na trudne problemy szczytów imponujących nie tyle wysokością, co indywidualnością. Zjawisko to jest znane już od dawna w andynizmie — zarówno peruwiańskim i boliwijskim, gdzie wysokość szczytów rzędu 6000 m zbliża je zarazem w pewnym stopniu do problemów egzotycznych gór najwyższych, jak i patagońskim, gdzie np. Cerro Fitz Roy po egzo-

tycznym starciu zdobywczym spadł od razu na etap sportowy. Podobna sytuacja wytworzyła się z czasem i w Himalajach (np. Mustagh Tower, Siniolchu, Pumori, ataki na Machapucharé), oraz w Pamirze (np. omówiony w ostatnim numerze „Taternika” Pik OGPU), a także zaistniała od razu w Hindukuszu (np. Kuh-e Mandaras), gdzie wyprawa krakowska 1966 r. wprowadziła już etap trzeci — zdobywanie ścian szczytów osiągniętych poprzednio łatwiejszą drogą (Gunbaz-e Safed).

W okresie siedmiu lat Hindukusz stał się dla nas masywem górskim pod każdym względem rekordowym. Wraz z Andami środkowego pogranicza argentyńsko-chilijskiego z lat trzydziestych jest dla nas jedynymi wysokimi i liczącymi się górami świata, w których pozycja nasza należy do czołowych. Pozwolił nam na podniesienie rekordu wysokości męskiego i kobiecego, poważne zwiększenie liczby zdobytych szczytów siedmio- i sześciotysięcznych, zwielokrotnienie liczby osób, które mogły przekroczyć granicę 7000 metrów i zapoznać się z górami typu najwyższego w warunkach względnie bezpiecznych, powiększenie wielkości i trudności pokonywanych ścian na szczytach powyżej 6500 metrów, zaznajomienie się z organizacją i prowadzeniem wypraw w warunkach może nie całkiem himalajskich, ale na pewno daleko odbiegających od tych, z jakimi spotykamy się w Alpach a nawet w Kaukazie. Dał nam poważne doświadczenia — pozytywne i negatywne. Ale równocześnie skończył się jako teren, na którym można postąpić dalej w alpinizmie egzotycznym. Na najbliższą przyszłość, która przez jakiś czas będzie prowadzić jeszcze w tym samym kierunku, zanim alpinizm przejdzie całkowicie na inne cele, pozostają góry wyższe i trudniejsze, zarówno wyczynowo jak przede wszystkim organizacyjnie: Himalaje, Karakorum. Z nami — czy bez nas?

Z życia Klubu Wysokogórskiego

KW w liczbach

Nasz Klub przekroczył już liczbę dwocinset tysięcy członków. Jak wynika z zestawień sporządzonych z datą 1 I 1967 r., wszystkich razem członków mamy 2038 — w tym honorowych 19, zwyczajnych 482, uczestników 838 i sympatyków 699. Największym pozostaje Koło Warszawskie, liczące 601 członków (w tym honorowych 8, zwyczajnych 113, uczestników 203 i sympatyków 277), na drugim miejscu stoi Koło Krakowskie z liczbą 400 członków (odpowiednio: 6, 91, 111 i 192). Po przeszło stu członków mają koła: Łódzkie (173, w tym 27 zwyczajnych), Zakopińskie (133, w tym 57 zwyczajnych), Katowickie (119, w tym 38 zwyczajnych) i Trójmiasto (106, w tym 22 zwyczajnych). Najmniejszymi kołami są nadal Pomorskie (25 członków) i Toruńskie (29 członków).

Ilość członków-sympatyków w niektórych kołach zbliża się do połowy stanu (Kraków, Łódź, Szczecin, Warszawa). Najwyższy odsetek członków zwyczajnych wykazują koła Poznańskie i Zakopińskie (41 i 40%).

H. Wiktorowska

Szkoleniowy eksperyment

Jednym z przejawów ścisłej współpracy Koła Krakowskiego KW i studenckiej Sekcji Tatarniczej AKT jest przeprowadzony wspólnie w lecie 1966 r. kurs tatarniczy dla początkujących. Program kursu obejmował wykłady teoretyczne (40 godz.), zajęcia w skałkach (6 niedziel) i 2-tygodniowy obóz w Tatrach. Do szkolenia dopuszczono osoby, które wykazały się ogólną znajomością turystyczną Tatr Polskich. W zajęciach skałkowych uczestniczyło 30 osób, w kursie tatrzańskim 14. Większość uczestników stanowili studenci uczelni krakowskich.

Kurs tatrzański różnił się znacznie od tradycyjnie prowadzonych kursów tego rodzaju:

1) działano w oparciu o biwaki pod namiotami przy Morskim Oku (14—27 VII) i nad Jamskim Stawem (22—28 VII), co pozwoliło uczestnikom poznać 6 wielkich dolin tatrzańskich (Pięciu Stawów Polskich, Rybiego Potoku,

Ważecką, Furkotną, Złomisk oraz Koprową);

2) szkolenie prowadzono w 6—8-osobowych grupach, przy czym starano się realizować zasadę obciążenia instruktora tylko dwoma kursantami;

3) program kursu obejmował również biwak w kolebie lub planowy biwak na grani (gran Hirubego);

4) zorganizowano zbiorowe zaplecze w żywność.

Mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych (tylko 2 dni bez deszczu) uczestnicy kursu „zrobili” po około 20 godzin wspinaczkowych. Kierownikiem był Andrzej Paulo, przy współpracy Marka Głogoczowskiego ze strony ST AKT.

A. Paulo

Gliwice

Dnia 25 XI 1966 r. na Walnym Zebraniu Akademickiego Klubu Grotolazów przy Radzie Uczelnianej ZSP w Gliwicach utworzono Sekcję Tatarniczą. Jej członkami są adepci AKG, będący równocześnie członkami i uczestnikami Klubu Wysokogórskiego. Działalność Sekcji prowadzona jest przy współpracy z Kolem KW w Gliwicach. Zadaniem Sekcji jest podnoszenie umiejętności wspinaczkowych członków Klubu uprawiających taternictwo jaskiniowe, prowadzenie działalności powierzchniowej oraz propagowanie zagadnień taternictwa w środowisku studenckim. Sekcja liczy obecnie 10 osób, kierownikiem jest Eugeniusz Chrobak.

Zimą w Pięciu Stawach

W dniach 22 XII 1966 — 4 I 1967 r. odbył się obóz zimowy Koła Szczecińskiego. Uczestnikami byli: Jolanta Lange, Tadeusz Piotrowski (kierownik), Zdzisław Prusisz, Franciszek Wieczorek, Stefan Matalewski i Andrzej Bohosiewicz. Za rejon działalności obrano Dolinę Pięciu Stawów Polskich, najbardziej odpowiadającą charakterowi obozu, którego założeniem było zapoznanie członków zgrupowania z warunkami i techniką wspinaczki zimowej. Ciągłe opady śniegu, silne wiatry i mgła utrudniały normalny tok pracy szkoleniowej. Na 14 dni

trwania obozu stwierdzono 5 dni w ciągu których wyglądało słońce, a 1 dzień o względnie dobrych warunkach wspinaczkowych. Na podejściach regułą było kopanie się po pas w śniegu, co wydłużało niepomierne czas drogi. Mimo tak złych warunków, zanotowano 7 dni działalności górskiej o łącznej ilości 48 godz. wspinaczkowych. Przebyto m. in. Walentkową Grań, grań Koziego Wierchu oraz lewy zleb południowo-zachodniej ściany tego szczytu.

T. Piotrowski

Koło Szczecińskie

Walne Zebranie Koła odbyło się 17 I 1967 r. W referacie Prezesa i dyskusji znalazły odzwierciedlenie trzynastoletnia działalność Koła, jego osiągnięcia sportowe i organizacyjne oraz perspektywy rozwoju w najbliższych latach. Do ważniejszych spraw zaliczyć należy wyjście Koła na zewnątrz i znalezienie poparcia u lokalnych władz sportowych. Powstały przed rokiem Klub Tatrzański PTTK, który pracę swoją opiera głównie na młodzieży, rozwiązał wreszcie problem przedpola działalności taterniczej w Szczecinie.

Na Walnym Zebraniu wybrany został nowy Zarząd Koła, w składzie: prezes — Maria Rewaj, wiceprezesi — St. Matalewski i P. Kozłowski, sekretarz — Z. Prusisz i skarbnik — T. Piotrowski. Kol. P. Kozłowski reprezentuje w zarządzie Sekcję Grotolazów.

Zimowy obóz unifikacyjny

Wzorem lat ubiegłych ZG KW zorganizował w Tatrach w dniach 5—14 II 1967 obóz unifikacyjny dla wybierających się taterników. Kierownikiem był Janusz Kurczab, instruktorem — Andrzej Nowacki i Ryszard Szafirski. Na obóz zgłosiło się 7 uczestników: Zdzisław Czarniak (Koło Zakopińskie), Janusz Gacek i Tadeusz Gibiński (Koło Gliwickie), Jan Kiełkowski (Koło Katowickie), Zygmunt Pałucha (Koło Łódzkie), Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz (Koło Szczecińskie).

Niemal przez cały czas trwania obozu panowała zła pogoda, z niewielkimi tylko przerwami. W okresie tym odbyły się 4 pogadanki o najatrakcyjniejszych re-

jonach górskich Europy. W ciągu ostatnich dni obozu nastąpiła poprawa pogody, jednak warunki w ścianach były bardzo ciężkie. W tym okresie są do odnotowania jedynie ciekawsze wejścia: Koprowy Wierch północną ścianą (nowa droga na lewo od drogi Drosta i Zyzaka — Kurczab, Piotrowski, Prusisz i Szafirski, 13 II) oraz północnym zlebem (WHP 563 — Gacek i Pałucha, 13 II); Szpiglasowy Wierch południowo-wschodnią ścianą (zob. nr 3/1967 — Kielkowski, Kurczab i Szafirski, 12 II); Czuba nad Zabiami Wrótkami lewą grzędą zachodniej ściany (Gacek i Gibiński, 11 II).

J. Kurczab

Walny Zjazd KW

W dniach 4 i 5 III 1967 r. odbył się w Warszawie Walny Zjazd Delegatów KW, którego głównym tematem były sprawy wychowawczo-szkoleniowe. Członkostwo honorowe nadano lordowi J. Huntowi oraz drowi K. Saysse-Tobicykowi. Prezesem został ponownie wybrany Czesław Bajér. Obszerniejsze sprawozdanie zamieścimy w numerze następnym.

Obóz KDL w Tatrach

W dniach od 5 do 17 III 1967 r. odbył się przy Morskim Oku drugi z kolei Międzynarodowy Obóz Wyczynowy Alpinistów z KDL. W imprezie wzięli udział reprezentanci Bułgarii, CSRS, Jugo-sławii, NRD, Węgier, ZSRR i Polski. Z dokonanych przejść wyróżniła się dwa zwłaszcza: droga Łapińskiego na Kazalnicy (11—12 III, dwójka czechosłowacka T. Zaboranśki i B. Kramny — w półtora dnia w doskonałym stylu) oraz zachodnia grzęda Niżnich Rysów przez Tomkowa Igły — 8 III, wręcz wymięta dwójka czechosłowacka, dwójka radziecka (W. Oniszczenko i B. Romanow) i dwójka polska, Cz. Momatiuk i A. Mróz, w czasie 7 godzin. Kierownikiem obozu był Czesław Momatiuk. W drodze w Tatry delegaci radzieccy wzięli udział w Walnym Zjeździe KW w Warszawie.

Zjazd Delegatów STJ

W dniach 18—19 III 1967 obradował w Krakowie Zjazd Delegatów Sekcji Taternictwa Jaskiniowego Klubu Wysokogórskiego. W Zjeździe uczestniczyło 17 delegatów z Krakowa, Zakopanego, Warszawy i Katowic. Władze naczelne Klubu reprezentowali prezes Czesław Bajér i sekretarz ZG, Jan Kowalczyk.

Sprawozdanie z działalności ustępującej Komisji Taternictwa Jaskiniowego ZG KW złożył Janusz Smiatek, podkreślając przede wszystkim zorganizowanie zakończonej sukcesem wyprawę do najgłębszej jaskini świata Gouffre Berger (1966). W dyskusji omówiono aktualne problemy taternictwa jaskiniowego oraz możli-

wości jego dalszego rozwoju. Prezes Cz. Bajér podkreślił w swoim wystąpieniu znaczenie należytego wychowania, koleżeństwa i etyki sportowej w taternictwie. W przyjętych wnioskach i dezyderatach zalecono nowej Komisji m. in. zorganizowanie międzynarodowego obozu jaskiniowego w Tatrach, rozwijanie współpracy z innymi krajowymi organizacjami speleologicznymi, poczynienie starań w dyrekcji TPN o zwiększenie kontroli nad podejmowanymi w Tatrach akcjami jaskiniowymi (wymogi bezpieczeństwa i ochrony przyrody).

Zjazd dokonał wyboru przewodniczącego i członków nowej Komisji Taternictwa Jaskiniowego, która ukonstytuowała się na następująco: przewodniczący — Bronisław Goch, zastępcy przewodniczącego — Maciej Lewandowski i Apoloniusz Rajwa, sekretarz — Stefan Patyk, wreszcie członkowie — Hubert Gorszczyński, Bernard Kołsar, Aleksandra Łapaś i Tadeusz Paluszkiwicz. (bg)

Straż Ochrony Przyrody

W „Dzienniku Ustaw” nr 4 poz. 14 z dnia 2 II 1967 r. ukazało się rozporządzenie Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego z dnia 9 I 1967 r., uzupełniające rozporządzenie z dnia 30 IV 1957 r. w sprawie obywatelskiej Straży Ochrony Przyrody. Uzupełnienie to wprowadza Klub Wysokogórski do grona kilku organizacji społecznych posiadających prawo powoływania swoich członków do Straży Ochrony Przyrody. Pismem z dnia 11 II 1967 r. kierownictwo SOP powiadomiło o powyższej zmianie wojewódzkich konserwatorów przyrody oraz wojewódzkie inspektoraty SOP.

Przystępując do organizacji taternickiej Straży Ochrony Przyrody, Klub Wysokogórski liczy na aktywny udział ze strony tych wszystkich członków, dla których ochrona przyrody (nie tylko zresztą tatrzańskie) jest celem godnym poświęcenia czasu i energii.

Włodzimierz Obojski

Sekcje taternickie AKT

29 i 30 IV 1967 r. odbyło się na Hali Gąsienicowej drugie już spotkanie przedstawicieli ST AKT. Reprezentowane były śródowniska: gdańskie, lubelskie, krakowskie, toruńskie oraz warszawskie (Politechnika i UW). Spotkanie miało na celu ogólną unifikację organizacyjną poszczególnych sekcji, ustalenie zasad współpracy między nimi i zarysowanie planu działalności centralnej. Zebrani postanowili powołać Radę Sekcji, w której skład wchodzić będą przedstawiciele wszystkich ośrodków. Prezesem wybrano M. Głogoczowski z Krakowa.

Sekcje przyjęły ramowy statut organizacyjny i podjęły zobowiązania co do stałej współpracy przy zachowaniu pełnej samo-

dzielności. Szczególny nacisk kładziono na sprawy szkoleniowe, a zwłaszcza szkolenie instruktorów. Zgodnie uznano potrzebę przestrzegania nadzoru ze strony KW nad działalnością sportową i szkoleniową sekcji.

A. Paczkowski

W Dolinie Jaworowej

W drugiej połowie kwietnia 1967 r. taternicy śląscy zorganizowali, tradycyjnie już, obóz zimowy w Jaworzynie Spiskiej. Udział w nim wzięli: H. Furmanik, A. Grabski, J. Junger, W. Mazurek, R. Szafirski, M. Ziętkiewicz i A. Zyzak. Trudne warunki w ścianach i wręcz fatalna pogoda nie pozwoliły na rozwinięcie szerszej działalności wspinaczkowej, mimo to kilka przejść zasługuje na uwagę.

17 IV zespół w składzie Zyzak, Furmanik, Junger i Szafirski przeszedł w 4½ godziny Filar Szczepańskiego na Skrajnej Jaworowej Turni. 21 IV dwójka Zyzak i Szafirski pokonała w 11 godzin drogę Komarnieckich na północnej ścianie Malego Jaworowego Szczytu. 21 i 22 IV Barbara Skoczyła (Łódź), Ziętkiewicz, Grabski i Mazurek dokonali trawersowania grani Snieżnych Turni (przypuszczalnie I polskie przejście zimowe). Po biwaku zeszli ze Snieżnego Szczytu do Doliny Czarnej Jaworowej.

Wspinaczki w otoczeniu Doliny Jaworowej z bazy w Jaworzynie trwają w zimie z reguły 2 dni i wymagają dobrego przygotowania kondycyjnego. Zbliżają się pod tym względem do łatwiejszych przejść alpejskich, gdzie podejścia i zejścia są porównywalne czasowo z czystą wspinaczką w ścianie. Z tych powodów organizowanie obozów zimowych dla zaawansowanych taterników w Dolinie Jaworowej jest bardzo wskazane. O innych walorach zimowych tego rejonu mówi nasze zeszytowane sprawozdanie zamieszczone w „Taterniku” 3-4/1966 s. 117.

Ryszard Szafirski

Konferencja sportowa KW

W niedzielę, 23 IV 1967 r., odbyła się w Warszawie Krajowa Konferencja Referatów Sportowych kół KW oraz Komisji Sportowej ZG KW. W trakcie obrad dyskutowano najważniejsze problemy dotyczące działalności sportowej, takie jak np. organizacja i system rozliczania obozów w Tatrach, jak sprawy lepszego funkcjonowania obozów, jak obsadzanie funkcji obserwatorów ZG itp. Duży nacisk położono na sprawy związane z bezpieczeństwem w górach. Analogiczne konferencje postanowiono zwoływać dwa razy w roku — przed każdym sezonem. Obradom przewodniczył Andrzej Paczkowski.

(as)

Jerzy Potocki

Prezes Koła Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego i członek Zarządu Głównego KW — zginął w lawinie na północnych stokach Noszaka w dniu 4 września 1966 r.

Strata to tym bardziej bolesna, że odszedł od nas nie tylko jeden z najlepszych alpinistów, ale również nieoceniony, pełen inicjatywy działacz i organizator, a przy tym ogólnie lubiany kolega i przyjaciel. Jego wszechstronność i bogata indywidualność stały się dla niego źródłem licznych sukcesów — i jako alpinisty, i jako naukowca, pracownika Zakładu Archeologii Małopolski Instytutu Kultury Materialnej PAN, o poważnym już dorobku badawczym.

Nie ma chyba potrzeby cytowania pełnej listy jego osiągnięć sportowych w Tatrach i poza Tatrami. Znamy je przecież wszyscy, tak jak znamy historię ostatnich polskich sezonów w górach. Wystarczy przytoczyć kilka dat:



Urodzony 5 marca 1932 r., zaczął się wspinać w r. 1953 — zrazu bez większych sportowych aspiracji. Interesowały go nie tylko Tatry Wysokie. Chętnie chodził po Tatrach Zachodnich, wspinał się w skałkach Jury i w sudeckich Sokolich Górach, w lecie 1960 r. uczestniczył w rozwiązaniu dwóch trudnych problemów na Sokolicy w Piennach. Następnego lata wyjechał do Jugostawii, gdzie przeszedł kilka dużych dróg w masywie Triglavu, a także nową drogę na wschodniej ścianie szczytu Stenar. Wracając do kraju zwiedził Wysokie Taury i wszedł na Grossglockner, a we wrześniu w Tatrach zmierzył się z lewą depresją Kazalnicy (XIII przejście). Rok 1962 przyniósł mu dalsze podwyższenie poziomu wyników: II zimowe przejście drogi Orłowskiego na Zabim Szczycie

Wyżnim i IV zimowe przejście Wariantu R na Mnichu, a latem — II przejście północnego filara Grande Rocheuse w Alpach Francuskich. W r. 1963 jego udziałem stało się II zimowe przejście lewego filara Kazalnicy, w Alpach zaś — II przejście drogi Contamine'a na Aiguille Verte. W latach 1963—1965 niemal w każdym sezonie wpisywał do swej książki wejść nowe drogi skalne lub I wejścia zimowe. Ostatnim z nich było I zimowe przejście drogi Ferenkiego na Mnichu — w dniu 30 IV 1966 r. Potem były już przygotowywania do wyprawy, a wreszcie wyłuskany Hindukusz...

Wyczyny wspinaczkowe postawiły Jerzego Potockiego w czołówce polskiego alpinizmu sportowego, ale nie w nich leży wyjątkowość jego osobowości. Zupełnie niezwykłą postacią był on w dziedzinie organizacyjnej. Jego kultura obcowania z ludźmi, dar zjednywania sobie przyjaciół i niewymuszona umiejętność bycia — wszystko to razem sprawiało, że działalność Jurka we władzach Klubu była więcej niż owocna. Doceniając w pełni znaczenie umiejętnej propagandy i reprezentacji Klubu i jego spraw, poprzez liczne kontakty zjednywał alpinizmowi sympatyków i wyrabiał mu jak najlepszą opinię. Odczyty, wystawy fotografii, mistrzostwa narciarskie KW, nawet tak blaha pozornie impreza, jak doroczny bal Koła Krakowskiego — wszystko to służyło nie tylko życiu wewnątrz Klubu, ale było także wyjściem naprzeciw szerszej społeczności, wyjściem zawsze atrakcyjnym i w dobrym smaku.

Trudno byłoby wyliczyć wszystkie przedsięwzięcia, których inicjatorem, a często i wykonawcą był popularny „Potolo”. Jako prezes Koła Krakowskiego i jako członek ZG KW umiał jak nikt inny znaleźć wspólny język zarówno z młodzieżą, jak i starszym pokoleniem, będąc w dyskusjach i spornych kwestiach pełnym taktu i umiaru moderatorem.

Osobne słowa uznania należą mu się jako redaktorowi „Taterniczka”. Był tu nie tylko duszą zespołu redakcyjnego, ale także często również jako „pracowitymi rękami”. Utrzymanie przez szereg lat ciągłości wydawania tego piśmka jest na pewno w olbrzymiej mierze jego dziełem. Sam uprawiał również działalność publicystyczną, czego odbicie można było znaleźć w prasie codziennej czy pismach fachowych — od poznańskiego „Oscypka” (10/1954) poczynając, a na „Taterniku” kończąc. Jako archeolog był współpracownikiem i członkiem Rady Redakcyjnej „Z otchłani wieków”.

Jego stosunek do gór był stosunkiem alpinisty-sportowca, ale zarazem i estety. Uwydatniało się to zarówno w tym, co robił, jak i w tym co pisał czy mówił. Niezmiernie aktywny psychicznie i fizycznie, zdumiewająco umiał godzić działalność sportową, organizacyjną, towarzyską, publicystyczną i zawodową. Śmierć Jurka Potockiego jest dla nas stratą niepowetowaną. Odszedł w pełni

sił i rozwoju swej osobowości, zginął — jak napisał „Taterniczek” — u szczytu swej kariery alpinistycznej, której bynajmniej nie zamierzał kończyć. Pozostał po nim głęboki żal i naprawdę niezatarta pamięć.

Stanisław Urbański

(Na zdjęciu J. Potocki w dniu wyjazdu z Krakowa — fot. R. Korski).

M. Konopacka i W. Malecki

Dnia 15 VIII 1966 r. na północnej ścianie Hrubego Wierchu zginęli członkowie Koła Warszawskiego KW, Maria Waszkiewicz-Konopacka i Wojciech Malecki. Wypadek nastąpił przypuszczalnie podczas wycofywania się z drogi Komarnickich ku nie nazwanej przełęczce we wschodniej grani, w kruchym terenie i przy nadciągającej burzy.

Maria Waszkiewicz-Konopacka

Urodzona w r. 1934, ukończyła studia polonistyczne i była kierowniczką biblioteki Wydziału Matematycznego UW. Turystykę uprawiała od 14 roku życia, największą jej pasją stanowiły góry. W trakcie wędrowek z plecakiem zdobyła małą złotą odznakę GOT oraz brązową GON. Wspinaczkę zaczęła się w r. 1964, a w 1965 została członkiem KW. Miała za sobą 3 sezony letnie i jeden zimo-

wy. Chociaż nie chodziła na drogi o wysokim stopniu trudności, taternictwo stanowiło dla niej źródło największych przeżyć osobistych. Wrażliwa na piękno przyrody, nawet na łatwych drogach znajdowała swą Wielką Przygodę.

Wojciech Ignacy Malecki

Urodzony w r. 1943, ukończył studia ze stopniem magistra fizyki teoretycznej. Do Klubu Wysokogórskiego wstąpił w r. 1963 i wtedy też ukończył kurs początkowy. Przez następne dwa lata wspinał się niewiele i dopiero w ciągu ostatniego roku mógł poświęcić się w pełni górom. Wziął udział w obozie zimowym, w lipcu przebywał w rejonie Morskiego Oka, gdzie przeszedł m. in. 2 drogi nadzwyczaj trudne. Ambitniejsze plany odkładał na wrzesień. W sierpniu, jako uczestnik obozu w Dolinie Mięgoszowieckiej, wspinał się z Marią Konopacką uzupełniając drogi „klubowe”. Zginął na ostatniej z tych dróg.

Wypadki i ratownictwo

Komunikat GOPR

Zarząd Grupy Tatrzańskiej GOPR informuje, że przeprowadził wewnętrzną reorganizację w pionie ratownictwa jaskiniowego. Zmiana polega na przekształceniu dotychczasowej „Sekcji Ratownictwa Jaskiniowego” w „Komisję Ratownictwa Jaskiniowego Grupy Tatrzańskiej GOPR”, z jednoczesnym unieważnieniem regulaminu byłej Sekcji Ratownictwa Jaskiniowego. Komisja Ratownictwa Jaskiniowego jest wewnętrzną komórką, podległą Zarządowi Grupy Tatrzańskiej GOPR.

Informujemy również, że dotychczasową „Książkę wejść jaskiniowych” zamieniliśmy na „Książkę ewidencji wejść jaskiniowych”. Oświadczamy w związku z tym, że Grupa Tatrzańska GOPR interweniuje w zasadzie tylko na wezwanie o pomoc. Każda więc ekipa grotołazów powinna sama zabezpieczyć łączność między eksplorowaną jaskinią a Stacją Centralną Grupy Tatrzańskiej GOPR w Zakopanem, ul. Krupówki 12, telefon alarmowy 34-44 (czynny całą dobę). Ponieważ „Książka ewidencji” służyć będzie do oceny wielkości ruchu jaskiniowego, uprzejmie prosimy o wpisywanie w niej wszelkich przedsięwzięć sportowych i eksploracyjnych związanych z jaskiniami.

Michał Gajewski

Wypadki w Alpach

Z obliczeń DAV wynika, że chociaż w Alpach liczba wypadków utrzymuje się ciągle na wysokim poziomie, statystyki notują jej stały spadek względny. I tak w r. Deutscher Alpenverein miał 114 000 członków i 43 zabitych w górach (3,2 promille), w 1963 — 213 000 członków i 45 zabitych

(1,4 promille), zaś w 1965 przy 224 000 członków również 44 zabitych, co wynosi już tylko 1,2 promille. Na tę poprawę obrazu składają się liczne czynniki. m. in. sprawniejsze ratownictwo, lepszy ekwipunek i wyższy poziom sportowy chodzących po górach.

Lawiny na Słowacji

Nowa duża katastrofa lawinowa wydarzyła się w dniu 30 I 1967 r. w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich. Siedmioosobowa grupa początkujących taterników wyruszyła ze schroniska Téry'ego w rejon Spiskiej Grzędy. Podchodząc pod Juhaską Przełęczką spowodowali oni zejście lawiny, która poruszyła niżej położone pola śnieżne i spłynęła na dno kotłiny Pięciu Stawów Spiskich, tworząc lawinisko o wymiarach 150 x 50 m i grubości 2,5 m (długość całego toru lawinowego wynosiła bez mała kilometr). Zginęło 6 mężczyzn w wieku 30—37 lat i 1 kobieta w wieku lat 27. Szczegóły wypadku podają „Krásy Slovenska” nr 4/67 s. 127.

Dnia 3 II 1967 dwoje taterników (małżeństwo) trawersowało strome pola śnieżne podchodzące pod Żółta Sciana. Spowodowali oni lawinę, w której śmierć poniósł mężczyzna. Kobieta — zasypana do połowy — zdołała się sama uwolnić.

M. Jagiello

Ratownicza rewelacja sprzętowa

Przymusowo biwak na dużej wysokości, wypadek w zimie w górach, nagłe załamanie pogody podczas wspinaczki — co wtedy robić? W szwajcarskich sklepach sportowych ukazały się ostatnio specjalne okrycia awaryjne, łączące wszystkie za-

lety płachty biwakowej z zaletami śpiwora. Według danych handlowych, pozwalają one utrzymać 80–90% ciepła wydzielanego przez organizm, czyli są dwudziestokrotnie cieplejsze od wełnianego kołosa. Okrycia te — całkowicie nieprzemakalne i wiatroszczelne — są cudownym wynalazkiem dla alpinistów, a ich przydatność podnosi minimalna waga i wielkość po złożeniu: płachta zwana „ratowniczą” (NRC Rettungsdecke) o wymiarach $1,4 \times 2,1$ m waży zaledwie 65 g, a złożona ma wielkość paczki papierosów. Cena sztuki nie przekracza 15 Fr. Zasady działania w szeregach nie podano, chodzi jednak o zastosowanie materiałów odbijających promienie ciepłe (obie strony płachty są lśniaco-srebrzyste).

Wypadek na Kościelcu

30 IV 1967 r. około godz. 11(!) w drogę Z. Dziedzielewicza na zachodniej ścianie Kościelca wszedł zespół krakowski — Tadeusz Oczko (lat 20) i Kazimierz Rosiak (lat 24). Prowadzący Rosiak odpadł po przejściu ok. 15 m skrajnie trudnego trawersu. Szarpnięcie wyrwało hak przelotowy, jedyny wbity na tym odcinku. Po wielometrowym wahadle Rosiaka, jego partner, pozbawiony możliwości prawidłowej asekuracji, wypuścił odpadającego na całą długość liny. Ciężko ranny Rosiak zawisnął ok. 30 m nad podstawą ściany, Oczko zaś został unieruchomiony liną. Wypadek miał miejsce około godz. 14.15. Zaalarmowane pogotowie ruszyło do akcji, którą w całości kierował E. Strzeboński. Do Rosiaka podszedł od dołu Zdzisław Czarniak. Z pomocą taterników, którzy zbiegli się pod

ścianę, opuszczono rannego na śnieg i odwieziono do Kuźnic. A. Nowacki zwiózł w szelkach Grammingera Oczkę. Około godz. 18 cala akcja była zakończona. (ape).

W razie złamania nogi

W krajach alpejskich upowszechnił się ostatnio nadmuchiwany opatrunek służący do unieruchomienia złamań kończyny dolnej. Po ułożeniu w nim nogi zaclągamy zamek błyskawiczny i nadmuchujemy plastik przez wentyl. W chwili obecnej znajdują się na rynku co najmniej 3 modele tego rodzaju opatrunków: Quick-Bandage, przy którym but musi być zdjęty, co przy wypadkach narciarskich i wysokogórskich nie jest korzystne. Inny model nie wymaga tego, jednak stopa w nim jest niedostatecznie unieruchomiona. W modelu Ski-Jet (cena jak Quick — 67 fr. szw.) zamek znajduje się po stronie gołeni, a nie łydki, co jest dużą zaletą. Wszystkie te modele mają jedną poważną wadę: przy zbyt silnym nadmuchiwniu powodują zaburzenia w ukrwieniu złamanej kończyny. Dlatego też ukrwienie musi być stale i umiejętnie kontrolowane, co w warunkach terenowych nie zawsze jest łatwe. Dr med. H. R. Block donosi na podstawie swej bogatej praktyki o ciężkich uszkodzeniach złamanych kończyn, które w tego rodzaju opatrunkach były dostarczane do szpitala w Glarus. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o odmrożenia i martwice, spowodowane zaburzeniami w ukrwieniu.

J. Hajdukiewicz

Notatki, ciekawostki

Tirsuli zdobyty

Dwuwierzchołkowy szczyt Tirsuli (7074 i 7035 m) stał się w r. 1939 górą naszej kłęski. To pod nim właśnie 18 lub 19 VII ponieśli śmierć w lawinie lodowej St. Bernadzikiewicz i A. Karpiński. Niewysoki lecz piękny i trudny siedmiotysięcznik trwał nie zdobyty, oparł się również próbom indyjskim w latach 1964 i 1965. W jesieni 1966 r. do Klubu Wysokogórskiego zwrócili się Włosi z Mediolanu, z prośbą o materiały na temat góry i przebiegu polskiej wyprawy. Własny atak zaplanowali na początek lata 1967. Klub wysłał im książki J. Klarnera i J. Wojsznisa, nie przydały się one jednak, gdyż nasi włosey koledzy zrezygnowali z celu: rejon okazał się niedostępny ze względów wojskowych, Tirsuli zaś został zdobyty jesienią 1966 r. przez indyjską wyprawę Himalayan Association Calcutta, którą kierował Chanchal Mitra. Wyprawa poszła mniej więcej zgodnie z linią polskiego natarcia, zakładając 5 obozów (4724 m, 5334 m, 5791 m, 6248 m i 6645 m). W dniu 9 X 1966 r., po bardzo ciężkiej jedenastogodzinnej wspinaczce, staneli na wierzchołku dwaj alpinisci — N. Mallik i Sh.

Chakravorty. Klub Wysokogórski wysłał zdobywcom serdeczne gratulacje.

Wizyta na Antałówce

W dniu 7 III 1967 r. polscy telewizywiści mieli okazję do niezwykle miłego spotkania z Zofią i Witoldem Paryskimi w ich pracowni na Antałówce. Na półkach 10 000 książek i czasopism górskich, na ścianach muzealne rekwizyty, m. in. autentyczna torba przewodnicka Sabaly. Zofia Paryska mówiła o początkach swej pasji górskiej i pracach z zakresu botaniki, Witold Paryski — o wyprawie w Andy przed 30 laty i samotnym wejściu na południowy wierzchołek Nevado Tres Cruces. Dla miłośników Tatr najciekawsza była prezentacja przygotowanej do druku „Encyklopedii Tatrzeńskiej”, którą Wydawnictwo „Sport i Turystyka” zamierza oddać czytelnikom w przyszłym roku. Ta wielka publikacja jest owocem przeszło 10-letniej pracy małżeństwa Paryskich i stanie bez wątpienia w rzędzie kilku w ogóle najcenniejszych pozycji książkowych o naszych górach. (jn)

Prenumerata czasopism górskich

Redakcja „Taternika” często otrzymuje listy z zapytaniami, jak i na jakich warunkach można zaprenumerować czasopisma alpinistyczne wydawane w krajach zachodnich. Wyjaśniamy, że ze względu na ograniczony limit dewizowy, sprowadzanie tego rodzaju wydawnictw jest w chwili obecnej praktycznie biorąc niemożliwe. Chcemy natomiast zwrócić uwagę, że również w krajach demokracji ludowej wychodzą pisma poświęcone tematyce górskiej — nader interesujące dla taterników, a stosunkowo łatwe do zaprenumerowania. I tak za pośrednictwem Biura Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „RUCH” można zaprenumerować następujące tytuły:

„Vysoké Tatry (CSRS) — dwumiesięcznik, cena zł 24,
„Krásy Slovenska” (CSRS) — miesięcznik, cena zł 150,
„Der Tourist” (NRD) — miesięcznik, cena zł 73,
„Nаше planine” (FRJ) — dwumiesięcznik, cena zł 150,
„Planinski vestnik” (FRJ) — miesięcznik, cena zł 200.

Osoby zainteresowane otrzymywaniem wyżej wymienionych czasopism powinny opłacić koszt prenumeraty do dnia 30 IX bądź za pośrednictwem poczty, bądź osobiście w BKWZ „RUCH” — Warszawa, ul. Wronia 23, p. 102. Wyżej podane ceny obejmują okres roczny.

Olgierd Polakowski

Anglicy przyjeżdżają w Tatry

Już kilka razy zwracaliśmy uwagę na wzrost zainteresowania naszymi górami ze strony alpinistów brytyjskich. Miło nam zannonować przyjazd w Tatry kolejnej grupy wybitnych wspinaczy z tego kraju, która wybiera się do Polski w sierpniu 1967 r. Na czele pięcioosobowego zespołu stoi Denis D Gray, kierownik brytyjskich wypraw na Gaurisankar w Himalajach oraz na „najpiękniejszą górę świata” — Nevado Alpmayo w Kordylierach (zob. „Taternik” 1/1967 s. 44). Mamy nadzieję, że ten nieprzeciętny znawca gór, zajmujący się zawodowo wygłaszaniem odczytów, znajdzie nieco czasu, by opowiedzieć wrażenia ze swych wypraw i pokazać przeźrocza również polskim kolegom w Tatrach, Warszawie lub Krakowie. (ak)

Chińczycy na Evereście

Miesięcznik „Alpinismus” zamieszcza w numerze 2/1967 zdjęcie olbrzymiej rzeźby w bryle jaspisu, wyobrażającej wejście alpinistów chińskich na Mount Everest w r. 1960 (zob. „Taternik” 1/1961). Rzeźba waży 2½ tony, a pracowało nad nią przez przeszło dwa lata 18 snycerzy pod kierownictwem Wej

Cheng-junga. Jak wiadomo, wejście chińskie na Everest jest w pewnych kręgach poważnie kwestionowane: nie ma ono dokumentacji fotograficznej, a późniejsze wyprawy nie znalazły na wierzchołku żadnego śladu pobytu Chińczyków.

Z CSRS w Kaukaz

Wspaniałe pasmo Kaukazu coraz to szerzej otwiera się dla alpinistów z zagranicy. W lecie 1966 r. bawiło tam m. in. 45 alpinistów czechosłowackich. Na czoło licznych dokonania wysuwa się I wejście lewą częścią północnej ściany szczytu Tetnuld (4853 m). Podczas próby wytyczenia nowej drogi na Dżangitau (5048 m) atakujący zespół został porwany przez lawinę lodową, w której zginął Václav Bužek, a jego partner odniósł ciężkie obrażenia. Bardzo interesujący program zrealizowała 10-osobowa grupa działająca we wschodniej połaci Kaukazu Centralnego, gdzie od pobytu Polaków w r. 1935 nie pokazała się żadna zagraniczna ekipa. Z czechosłowackich wejść turystycznych wyróżnić należy zdobycie szczytu Kazbek (5043 m), najdalej na wschód wysuniętego pięcioletniego Kaukazu.

Szkoci w Hindukuszu

Czterej członkowie szkockiego Corrie-mulzie Mountaineering Club — W. Fraser, G. Johnston, F. Tranter i J. Weddeburn — weszli w skład szkockiej ekspedycji w Hindukusz w 1965 r., która po niemal dwuletnich przygotowaniach spędziła trzy miesiące w słabo dotąd wyeksplorowanej północno-wschodniej części Afganistanu. Członkowie ekspedycji zdobyli 10 znaczniejszych szczytów, z których 4 przewyższają 6000 m. Najwyższym z nich był Koh-i Chrebek (6150 m) — jedyny zdobyty już wcześniej, a równocześnie najwyższy w tej partii gór.

Koszty ekspedycji wyniosły 1700 funtów angielskich i pokryte zostały w części przez uczestników, a w części przez Mount Everest Foundation. Wyniki ekspedycji, wraz z bardzo interesującą mapą terenów, zostały przez uczestników starannie opracowane.

(j. kaw.)

Zima 1966/67 na Małym Kieżmarskim

Bawiąc w końcu marca w schronisku Brnčalva chata przejrzałem pamiątkową księgę, gdzie znalazłem ciekawe informacje o przejściach, jakich tej zimy dokonano w rejonie Kieżmarskiego Szczytu. I tak dnia 10 i 11 XII 1966 dwójka czeska z Ołomuńca przeszła drogę Kuchara na Złotej Turni przez „Ucho” do Niemieckiej Drabiny. Było to pierwsze zimowe przejście. Drugiego dokonano 18 II 1967 r. w ciągu jednego dnia!

Księga zawierała też opis przejścia i wyprostowania *direttissimi* północnej ściany Małego Szczytu Kieżmarskiego. Dokonała tego wyczynu dwójka P. Pochyły i J. Zrúst w dniach 15 — 20 III 1967 r. — bez użycia na nowych wariantach nitów, lecz jedynie z pomocą haków specjalnych. Przejście — będące na pewno największym osiągnięciem minionej zimy w Tatrach — odbyło się w niezwykle ciężkich warunkach (opady, silne wiatry). Obaj wspinacze, świeżo pod wrażeniem walki o sukces, wypisali w księdze obszerny raport, podkreślając w nim, że śmierć „poklepywała ich ciągle po ramieniu”.

K. Cielecki

Studencki plebiscyt sportowy

W dniu 15 IV 1967 r. odbyło się w Warszawie uroczyste wręczenie dyplomów i nagród laureatom V Plebiscytu na 10 Najlepszych Sportowców-Studentów w Polsce w r. 1966, zorganizowanego przez redakcję pisma „Politechnik”. Miło nam odnotować, że VII miejsce w tym plebiscycie zajął nasz reprezentant, Eugeniusz Chrobak — przy naprawdę silnej konkurencji przedstawicieli znacznie popularniejszych dyscyplin sportowych (I miejsce I. Kirszenstein). W ubiegłym roku podobny plebiscyt — jednakże ograniczony tylko do uczelni politechnicznych — przyniósł Chrobakowi VIII miejsce. Serdecznie gratulujemy.

CSRS — Tiricz Mir?

Ustredná sekcia horolezectva CSRS planuje na lato 1967 r. wojaże zagraniczne dla około 250 wspinaczy (m. in. 10 osób w Pirenejach i 30 osób w Dolomitach). Najciekawszym projektem jest II Czechosłowacka Wyprawa w Hindukusz, która ma działać w rejonie najwyższego szczytu, Tiricz Miru (7700 m). Przewiduje się, że w skład wejdą w dużej części uczestnicy wyprawy z r. 1965 („Taternik” 1-2/1966 s. 51), kierownikiem ma być znowu Vladimír Šedivý. Wyprawie towarzyszyć będą filmowiec (B. Roger), fotografik (V. Heckel) oraz 4 naukowcy z CSAV, którzy przeprowadzą badania botaniczne i zoologiczne. („Krásy Slovenska” 2/1967).

Widok z Noszaka na południe. W dole Górny Lodowiec Tiricz. Na drugim planie grupa szczytów z najwyższym Tiricz Mir Północnym (6732, 7658 m), zdobytych przez Austriaków w r. 1965 widoczną na zdjęciu północną grzędą. Droga ta należy do najtrudniejszych problemów rozwiązanych dotąd w Hindukuszu Wysokim. Na ostatnim planie połączony Tiricz Mir — wschodni szczyt 7692 m, główny 7706 m i w grani północno-zachodniej 4 nie zdobyte dotąd siedmiotysięczne wierzchołki (od lewej najwyższy — 7487 m). Wejście na skrajny wierzchołek widoczną granią stanowi obecnie pierwszoplanowy problem w Hindukuszu Wysokim

Fot. Lucjan Saduś

Włosi w masywie Air

W pierwszych miesiącach 1967 r. działała w południowej części masywu Air, leżącego na terytorium republiki Niger, ekspedycja Włoskiego Akademickiego Klubu Alpejskiego (CAAI). Rejon Air — z najwyższym szczytem Tamgak, 1800 m — nie był, jak dotąd, celem wypraw alpinistycznych i należy do słabo jeszcze poznanych zakątków naszego globu. Penetracja tego rozległego, bo liczącego 300 km długości i 80 km szerokości masywu przyniosła informacje o ścianach liczących 500—600 m wysokości, a więc wyższych niż w innych górach południowej Sahary (np. w masywie Hoggar spotyka się ściany do 400 m wysokości). Alpinści włoscy weszli na 8 dziewiczych dotąd wierzchołków i poprowadzili w sumie 17 nowych dróg o różnym stopniu trudności. Kierownikiem wyprawy był znany himalaista, Paolo Consiglio (zob. „Taternik” 3—4/1965 s. 93), od którego otrzymaliśmy powyższe informacje.

M. Popko





„Dwóch” — nowy film o wspinaniu

W dniach od 5 do 19 II 1967 r. pracowała w Tatrach ekipa Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Teatralnej z Łodzi, realizująca — przy współudziale organizacyjnym KW — film krótkometrażowy pt. „Dwóch”, w reżyserii Jerzego Surdela. Film ma charakter dokumentalny, a nowością w stosunku do innych jest próba dotarcia przede wszystkim do warstwy psychologicznej trudnej wspinaczki. Zdjęcia (operatorem jest Zbigniew Kaliniewicz) kręcono m. in. na Kazalnicy, pod Mnichem i na Żabim Szczycie Niżnim. Wspinali się: Kazimierz Gromski i Andrzej Wilczkowski, grupę pomocniczą stanowili taternicy: Marek Grochowski, Marek Piestrzak, Kazimierz Rusiecki, Jan Surdel, Maciej Włodek i Andrzej Woźnicki. Warunki w górach były do tego stopnia ciężkie (wiatry i zamiecie, mróz dochodzący do 26°), że pracę umożliwiała jedynie ofiarność i wysokie przygotowanie alpinistyczne całej ekipy.

Śmierć niedźwiedzia w Tatrach

W dniu 25 III 1967 r. na szosie do Morskiego Oka miał miejsce dość osobliwy wypadek: pod kołami autokaru zginął niedźwiedź.

Nadszedł on około godz. 10 przed południem od strony słowackiej i chciał przekroczyć szosę w rejonie polany Palenicy Białczańskiej. Zaabsorbowany widokiem kilku żołnierzy WOP idących ku Łysej Polanie, nie zauważył nadjeżdżającego z dołu autobusu, którego kierowca z powodu śliskości jezdni nie zdążył już zahamować. Zabity

Realizacja filmu „Dwóch” w Tatrach w lutym 1967 r. Od lewej: Jerzy Surdel, Zbigniew Kaliniewicz oraz aktor dublujący K. Gromskiego

Fot. Piotr Kuciatkowski

niedźwiedź był samcem w wieku 20 — 30 lat, ważącym 204 kg. Wysokość mierzona w przedniej łopatce wynosiła 128 cm, długość ciała 192 cm, rozmiary tylnej stopy 24 × 13 cm.

Ponieważ niedźwiedzi w Tatrach Polskich utrzymuje się zaledwie kilka, strata każdej sztuki jest dla Tatrzańskiego Parku Narodowego bardzo dotkliwa. Na szczęście wypadki zdarzają się rzadko. Po naszej stronie Tatr ostatnim była śmierć rosnącego niedźwiedzia w maju 1952 r. w Wielkim Stawie Polskim, podczas wiosennej wędrowki ku Gładkiej Przełęczy. Zalamawszy łoż zapadł się on pomiędzy kry i w trakcie zacieklej walki o życie zginął — jak wykazała sekcja — na atak serca.

Antoni Sitarz

Litwini w Tatrach

W lutym 1967 r. przebywała w Polsce grupa Litwinów, wśród nich również paru alpinistów. Dwaj z nich — Ervis Adomaitis i Kasty Zubovas wraz z Michałem Jagiełło i Józefem Olszewskim weszli w dniu 26 II na Skrajny Granat środkowym żebrem zachodniej ściany (drogą WHP 224). Latem bieżącego roku alpinisci ci wyjeżdżają w Pamir.

(mj)

Spotkanie pod Szczytem Lenina

Dla uczczenia 50-lecia Rewolucji Październikowej alpinisci radzieccy przygotowują na lato 1967 r. międzynarodowe spotkanie wspinaczy z Krajów Demokracji Ludowej w Pamirze — w bazie 4500 m n.p.m. pod Szczytem Lenina (7134 m), skąd przeprowadzone zostaną wejścia na ten szczyt. Kierownictwo imprezy objął doświadczony alpinista wysokościowy i organizator wypraw — W. M. Abalakow. Do udziału w spotkaniu zaproszono również alpinistów polskich.

Szczyt Lenina został zdobyty dnia 25 IX 1928 r. przez radziecko-niemiecką ekspedycję naukowo-alpinistyczną. Dziś jest on najczęściej odwiedzanym siedmiotysięcznikiem świata.

● W dniach 29 IV — 1 V 1967 odbył się w Olsztynie (Jura) zlot grotolazów zorganizowany przez STJ Kola PTTK przy Hucie im. Bieruta w Częstochowie. Uczestnicy odwiedzili kilka jaskiń, m. in. Studnisko, Wierciec, Koralową i Urwista.

● Bez mała 10% całego nakładu „Taternika” rochodzi się za granicę. Najliczniejszych prenumeratorów ma pismo w Związku Radzieckim (1967 przeszło 100), wielu też w Czechosłowacji (1967 około 50). Dane te nie obejmują prywatnej wysyłki zeszytów.

● 26 II 1967 r. minęła 30 rocznica I wejścia na drugi szczyt Ameryki, Ojos del Salado (6870 m) — obok Nanda Devi East naszego największego osiągnięcia eksploracyjnego.

● W skład 3-osobowego zespołu konstruktorów maszyny cyfrowej ANOPS, wyróżnionego II nagrodą w konkursie „Mistrz Techniki 1966” („Życie Warszawy” 3 V 1967) wchodzi taternik i członek KW, inż. Tadeusz Jankowski z Warszawy.

● Pięciu alpinistów austriackich z ÖAV-Hochtouristengruppe Steiermark podejmuje w lecie 1967 r. próbę przemarszu północno-zachodniej części Spitsbergenu i zdobyła 100 dziewiczych szczytów. Kierownikiem jest Heribert Diester. Ponieważ planowana trasa zachacza o obszary eksplorowane przez polskie wyprawy, Klub Wy-

sokogórski przesłał organizatorom odpowiednie materiały.

● Światowej sławy znawca Himalajów i autor książki „Zum dritten Pol” (1952), prof. Günter Oskar Dyhrenfurth, ukończył w r. 1966 80 lat. Urodził się on we Wrocławiu i jest z wykształcenia geologiem, przed I wojną światową dużo wspiął się w Tatrach, a w latach 1930 i 1934 prowadził wyprawy w Himalaje i Karakorum. „Die Alpen” II/1966 zamieszcza jego życiorys, „Alpinismus” 2 1967 — bibliografię ważniejszych prac.

● W styczniu 1967 r. przebywała w Austrii na kursie ratownictwa zimowego ekipa Grupy Tatrzańkiej GÖPR w składzie: Michał Gajewski, Wojciech Bartkowski i Jerzy Szuber.

● Czołowa dwójka wyczynowa Kola Szczecińskiego, T. Płotrowski i Z. Prusisz, zajęła 4 i 5 miejsce w plebiscycie na najlepszego sportowca Politechniki Szczecińskiej za r. 1966.

● W lecie 1966 r. (4 VII — 9 VIII) Kaukaz odwiedziła grupa alpinistów z NRF. Wspiłali się oni w rejonach Dombaj, Adyl-su i Kazbek. „Przyjęcie przez Rosjan było b. serdeczne — piszą — pogoda cudna: ani jednego dnia z deszczem”.

● Österreichisch-Deutsche Grönland-Kundfahrt 1966 zdobyła 28 VI 1966 najwyższy — dotąd nieznan —

szczyt południowej Grenlandii o wysokości 2712 m.

● W lecie 1966 r. wielką aktywność rozwinęła Czechosłowacka Sekcja Wspinaczkowa CSTV. Jak podaje I. Kluvánek, wysłała ona poza granice kraju (nie licząc NRD) aż 16 grup wspinaczy z ogólną liczbą 251 uczestników. M. in. 10-osobowa ekipa bawiła w Dolomitach.

● Schweizer Grönland-Expedition 1966 działała od 27 VI do 9 IX w północno-wschodniej części „Schweizerland”. Dokonała ona 28 pierwszych wejść na szczyty o wysokości 1600 — 2550 m, a także II wejścia na Laupersberg (2580 m), zdobyty w r. 1938 przez wyprawę AAC Zürich.

● Dwaj uczestnicy wejścia na Noszak nową drogą w r. 1963, Austriacy M. Hofpointner i G. Werner, zginęli 4 VII 1968 r. w lawinie lodowej w północnej ścianie szczytu Hochferner w Zillertaler Alpen. Pierwszy z nich był również zdobywcą Gunbaz-e Safed.

● W roku bieżącym „Taternik” obchodzi 60-lecie istnienia (pierwszy zeszyt ukazał się w początku lata 1907 r.) oraz 20-lecie ukazywania się po wojnie (od 1947 r.).

● Po raz któryś już z rzędu zapowiedziano ukazanie się IV tomu przewodnika A. Puškaša „Vysoké Tatry”, którego tak niecierpliwie oczekują taternicy. Ma on wyjść w III kwartale 1967 r. w objętości 272 stron druku. Cena 27 Kčs.

Taternik

Organ of the Polish Mountaineering Club
Organ des Polnischen Bergsteigerklubs,
Revue du Club Polonais de Haute Montagne

Tom, volume, Jahrgang: XLIII (1967) No 2 (195)
Editor, rédacteur: Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 410787. Pologne

SUMMARY

Mountaineering and Education (Cz. Bajer)	49	The first ascent of the Sad Ishtragh, 5859 m (M. Kozłowski)	65
Polish Winter Climbs in the Tatras, 1966/67 (J. Kurczab)	52	The North West Face of Gumbaz-e Safed (L. Saduś). The second ascent of the summit — by a new route	67
The most Beautiful Mountains in the Tatras (R. W. Schramm)	53	Some Impressions of the Hindu Kush (D. Baranowska)	69
The Burevestnik Pamir Expedition, 1966 (A. G. Ovchinnikov). Russian climbers have made some new routes on the Pik Korshenievskaya (7105 m)	55	How we climbed Noshag (A. Mróz). Eight members of the expedition have made the third and the fourth ascent of the mountain	71
The Winter 1967 in the Alps (J. Nyka)	56	The first Woman on Noshag (I. Agrestii). The lower west summit (7400 m) was reached by Isabelle and Henri Agrestii (France)	75
Mont Blanc du Tacul by the Boccalatte Buttress (E. Chrobak). The Boccalatte Buttress has been ascended for the first time in winter conditions on 26 and 27 March, 1967	57	Weather Conditions (J. Wala)	76
The IV Polish Hindu Kush Expedition, 1966 (R. Siedziwiski). The expedition has ascended Noshag (7492 m), Gumbaz-e Safed (6800 m) and some unclimbed peaks in the area of the Qazi Deh Valley	59	An Accident on Noshag (A. Heinrich)	77
		The Hard Way Down (J. Bourgeois)	80
		A Biologist in the Hindu Kush (J. Wojtusiak)	82
		Food and Drink (M. Kozłowski)	84

Polish Climbing and the Hindu Kush — Some Reflections (R. W. Schramm)	85
Club Activities — 87. Obituary — 89. Mountain Accidents and Rescue — 90. Notes and News — 91.	

SOMMAIRE

L'alpinisme et l'éducation (Cz. Bajer)	49
L'hiver 1966—1967 dans le Tatra (J. Kuczab)	52
La plus belle montagne du Tatra (R. W. Schramm)	53
L'expédition de la société sportive Bourevestnik en Pamir, 1966 (A. G. Ovtchinnikof)	55
L'hiver 1966—1967 dans les Alpes (J. Nyka)	56
Mont Blanc du Tacul par le pilier Boccalatte en hiver (E. Chrobak)	57
La IV ^e Expédition Polonaise en Hindou Kouch, 1966 (R. Stedziewski)	59
La conquête du Sad Ishiragh, 5859 m (M. Kozłowski)	65
Gumbaz-i Safed face nord ouest (L. Saduś)	67
L'ascension de Noshag (A. Mróz). La troisième et quatrième ascension, le 30 et 31 août 1966 — J. Bourgeois (Belgique) et 7 alpinistes polonais	71
Une Française au Noshag (Isabelle Agresti). „La femme vivante la plus haute du monde” (7400 m)	75
Les observations météorologiques (J. Wala)	76
La tragédie au Noshag (A. Heinrich)	77
Demain camp III... (J. Bourgeois)	80
Un biologiste en Hindou Kouch (J. Wojtusiak)	82
Alimentation (M. Kozłowski)	84
Hindou Kouch en perspective (R. W. Schramm)	85
La chronique du Club Polonaise de Haute Montagne — 87. In memoriam — 89. Secours en montagne — 90. Echos et nouvelles — 91.	

INHALTSVERZEICHNIS

Bergsteigen und Erziehung (Cz. Bajer)	49
Winter 1966/67 in der Hohen Tatra (J. Kurczab)	52
Die schönsten Gipfel der Tatra (R. W. Schramm)	53

Expedition des Burewiestnik in den Pamir (A. G. Ovtchinnikow). Neue Routen im Pik Korscheniewskaja-Massiv	55
Winter 1967 in den Alpen (J. Nyka)	56
Boccalatte-Pfeiler im Schnee und Eis (E. Chrobak). Erste Begehung in winterlichen Verhältnissen (26-27 III 1967)	57
IV Polnische Hindukusch-Expedition, 1966 (R. Stedziewski). Arbeitsgebiet: Qazi-Deh-Tal. Erstiegen wurden: Noshag, Gumbaz-e Safed, Asp-e Safed, Khorpusht-e Yakhi und 6 unbestiegene Fünftausender. Bei einem Vorstoss Richtung P 7291 kam es zu einem Lavinen-Unfall, in dem J. Potocki getötet wurde	49
Wie wurde Sad Ishtragh (5859 m) bestiegen? (M. Kozłowski)	65
Durch die Eiswand des Gunbaz-e Safed (L. Saduś). Zweitbesteigung. Neue Route über die 1400 m hohe Nordwestwand	67
Meine Bergerlebnisse im Hindukusch (D. Baranowska)	69
Im Banne des Noshag (A. Mróz). Acht Teilnehmer erreichten am 30 und 31 VIII 1966 den Noshag-Gipfel über den Westsporn	71
Eine Frau auf dem Noshag-Vorgipfel, 7400 m (Isabelle Argesti, Frankreich). Höhenrekord unter den Hindukusch-Frauen	75
Die Wetterlage (J. Wala)	76
Unfall bei der Noshag-Durchquerung (A. Heinrich)	77
Morgen erreichen wir das Lager III... (J. Bourgeois)	80
Als Entomologe im Hindukusch (J. Wojtusiak)	82
Mit eigenem LKW nach Afganistan (R. Stedziewski)	83
Zum Thema Verpflegung (M. Kozłowski)	84
Hindukusch-Ausblick (R. W. Schramm)	85

Aus dem Klubsleben — 87. Totentafel — 89. Bergunfälle und Bergrettungsdienst — 90. Informationen — 91.	
--	--



Skalki — maj 1967.

Fot. Lucjan Saduś

T a t e r n i k

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego poświęcony sprawom taternictwa, alpinizmu i speleologii.

Redaktor: Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18.

Zastępca redaktora: Jan Staszek, Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7.

Komitet Redakcyjny: Ryszard Gradziński, Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm, Jan Alfred Szczepański i Piotr Żółtowski.

Adres redakcji: Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 41-07-87.

Adres Klubu Wysokogórskiego: Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439. Tel. 26-69-56.

Prenumerata: „Taternik” ukazuje się w 4 zeszytach rocznie. Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują pismo w ramach składek członkowskich poprzez koła terenowe. Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosz oraz oddziały i delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Wpłaty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: półrocznie — zł 20, rocznie — zł 40. Prenumeratę na zagranicę (o 40% droższą) przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO nr 1-6-100024.

Egzemplarze numerów archiwalnych można nabywać (zamawiać) w redakcji, biurze Klubu Wysokogórskiego lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17, konto PKO nr 114-6-700041 VII O/M Warszawa.

Wydawca: RSW „Prasa” — Wydawnictwo „Prasa Sportowa”, Warszawa, ul. Mokotowska 24.
Druk. Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, Al. Jerozolimskie 125/127. Zam. 1330. Naki. 3180. T-40

